M.B. w L.W. w Łodzi

W numerze: WANDA KARCZEWSKA *Żegluga na jachcie „Zjawa"* ● BOGDA MADEJ *Odznaka z łódką w herbie* ● JAN KOPROWSKI *Uwaga: książka roku* ● RYSZARD BINKOWSKI *Spowiedź bez konfesjonału* ● *Recenzje* ● *Felietony* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

34 (718)
22. VIII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

Fot. L. Michajłowa

KRZYSZTOF POGORZELEC

Horoskop

Różnie o nich mówią: z odpowiednią rewerencją należną członkom tak szacownej instytucji jak Polska Akademia Nauk, ale i wstrzemięźliwie (— Zobaczymy, poczekamy...), a bywa, że i ironicznie: — Wróżbici...

No cóż, rzeczywiście mają p r z e w i d z i e ć, odgadnąć wielką niewiadomą, tyle że nie z gwiazd, niebieskich konstelacji lecz z faktów. Z tego co „już było" i przypuszczeń. A gra idzie o wielką stawkę: chodzi o Polskę. Dokładniej, o udzielenie odpowiedzi na niebagatelne pytanie, jaka będzie RZECZYPOSPOLITA. Tak, tak — jak będzie wyglądał nasz kraj za 29 lat (jak dobrze pójdzie...) czyli w roku 2000.

A więc — p r o g n o z o w a n i e.

Nie jest to bynajmniej nasz wynalazek, raczej odrabiamy dystans dzielący nas od innych. W Stanach Zjednoczonych działa wiele wyspecjalizowanych instytucji w rodzaju „Rand Corporation", we Francji „Grupa 1985", w Związku Radzieckim — który w tej dziedzinie wiedzy znajduje się na naszym poziomie — pracuje kilka szeroko rozbudowanych placówek przygotowujących prognozy.

A u nas?

We wrześniu minionego roku Rada Ministrów powołała Główną Komisję Prognozowania przy Komisji Planowania. Ster rządów w tej placówce objął prof. dr Kazimierz Secomski, który wraz z liczną grupą najwybitniejszych specjalistów różnych dyscyplin wiedzy, jakimi dysponujemy w kraju, ma przygotować odpowiednie (naukowe — mówiąc po prostu) „przepowiednie", a ponadto koordynować działalność grup prognostycznych, które pracują w rozmaitych dziedzinach gospodarki, przy ministerstwach i zjednoczeniach.

Słowem — „POLSKA 2000".

Jest to hasło wywoławcze, ale w tym konkretnym przypadku potrzeby nauki i działalności gospodarczej — przesunięcia „horyzontu planistycznego" poza rok 1990 nie mówiąc już o bliższej perspektywie, zgadzają się z naszą wyobraźnią; rok 2000 powszechnie — słusznie czy też niesłusznie — łączy się z jakąś barierą, pewną granicą i równocześnie punktem wyjściowym do dalszych zmian ekonomicznych oraz społecznych. Ludzkość zresztą lubi okrągłe daty, wyznaczające milowe kroki w jej historii. Kronikarze twierdzą, że na rok 1900 — jak mówiono — miał wypaść... koniec świata.

Punktem wyjścia do „jutra" jest oczywiście nasze „dziś". Myślimy tutaj o programie opracowanym na lata 1971—75 dla różnych dziedzin naszego kraju, a o którym premier Piotr Jaroszewicz tak powiedział: „Opracowana obecnie koncepcja planu na lata 1971—75 jest następstwem założeń dalszego rozwoju gospodarki i życia społecznego. W skrócie można powiedzieć tak: konstrukcja założeń przyszłego planu podporządkowana jest zasadniczym i organicznie związanym celom. Pierwszy — to szybsza i odczuwalna poprawa materialnych warunków życia oraz pracy społeczeństwa, drugi — zapewnienie racjonalnego wykorzystania rekordowego po wojnie przyrostu zasobów siły roboczej, i trzeci — zwiększenie dynamiki rozwoju gospodarki w stopniu gwarantującym Polsce należne jej miejsce w świecie, a w szczególności sprostanie wymogom, jakie niesie rewolucja naukowo-techniczna".

Zamieńmy teraz te ogólne założenia — wytyczne — na konkret liczb. Otóż spełnienie tych celów to przewidywany w bieżącej pięciolatce wzrost płac realnych o 17—18 proc. i odpowiednio wyższe dochody ludności wiejskiej, to zwiększenie do roku 1975 dostaw rozmaitych towarów rynkowych o ponad 40 proc., stworzenie miejsc pracy dla 1,8—1,9 mln osób, powiększenie rozmiarów tylko samej produkcji rolnictwa o jakieś 18—21 proc., natomiast przemysłu — licząc globalną produkcję — aż o 50 proc.! Wreszcie dochód narodowy — według aktualnej wersji planu — powinien ulec zwiększeniu o 38—39 proc.

Osiągnięcie takich rezultatów gospodarowania w najbliższym pięcioleciu jest warunkiem tak dobrego startu w rok 2000 jak i likwidacji napięć społecznych, rozmijania się słów o wzroście i rozwoju gospodarczym kraju

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Raz jeszcze w polityce międzynarodowej zaprzeczono tradycyjnemu mniemaniu, że w okresie kanikuły nie dzieje się nic ważnego. Ostatnie dni nagromadziły kilka istotnych wydarzeń, spośród których niewątpliwie najważniejszym jest ZAWARCIE RADZIECKO-INDYJSKIEGO UKŁADU o pokoju, przyjaźni i współpracy. Układ ten, podpisany w New Delhi przez ministrów: Gromykę i Singha w dniu 9 sierpnia, już w cztery dni później został ratyfikowany przez Prezydium Rady Najwyższej ZSRR i prezydenta Indii. Fakt tak szybkiej ratyfikacji ma swoją wymowę, podkreśla tym bardziej doniosłość układu.

We wspólnym oświadczeniu radziecko-indyjskim, jakie ogłoszone zostało po wizycie min. Gromyki, mówi się o tym, że „układ jest logicznym wynikiem stosunków szczerej przyjaźni, szacunku, wzajemnego zaufania i wielostronnych więzi, które kształtowały się między Związkiem Radzieckim a Indiami na przestrzeni wielu lat i wytrzymały próbę czasu". Tak jest na pewno. Jednak moment jego zawarcia jest szczególnie ważny — jak bowiem wiadomo, na tle dramatu we wschodnim Pakistanie i napływu stamtąd do Indii milionów uchodźców bardzo zaogniły się stosunki pakistańsko-indyjskie. Wspomniane powyżej oświadczenie podkreśla jednoznacznie, że wojskowe rozwiązanie problemu nie jest możliwe i że droga powrotu uchodźców do swych domów prowadzi jedynie przez takie rozwiązania polityczne w Pakistanie wschodnim, które uchodźcom stworzą warunki bezpieczeństwa. Tak więc układ spełnia rolę czynnika uspokajającego. Dlatego np. delhijski korespondent AFP mógł napisać:

„Ewentualność wojny indyjsko-pakistańskiej w wyniku kryzysu, który od przeszło pięciu miesięcy krwawi we wschodnim Bengalu, wydaje się być zażegnana".

Inni komentatorzy podkreślają, że dziś stało się już jasne, iż problem Bengalu wschodniego może być rozwiązany tylko przez uznanie w Islamabadzie reprezentatywnej siły Pakistanu wschodniego.

Układ radziecko-indyjski podyktowany został dążeniami obu krajów do utrwalenia pokoju w Azji i zapewnienia międzynarodowego bezpieczeństwa. Nie jest on wymierzony przeciwko komukolwiek, a w tej liczbie Pakistanowi. Zresztą w świecie politycznym oczekuje się, że korzystając z radzieckiego zaproszenia pakistański minister spraw zagranicznych jeszcze w bieżącym miesiącu złoży wizytę w Moskwie. Wtedy można będzie dokonać przeglądu aktualnych stosunków radziecko-pakistańskich.

W toku wizyty min. Gromyki w New Delhi omawiano również sytuację w innych rejonach świata. Mówi o tym końcowy komunikat. W sprawie Indochin obie strony opowiadają się za niezwłocznym przerwaniem ingerencji z zewnątrz i witają niedawne propozycje Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Republiki Wietnamu Południowego jako podstawę politycznego rozwiązania kryzysu. W sprawie Bliskiego Wschodu obie strony podkreślają konieczność szybkiego wcielenia w życie rezolucji Rady Bezpieczeństwa z listopada 1967 roku.

Przedmiotem obustronnego zainteresowania było także rozbrojenie. ZSRR i Indie raz jeszcze wypowiedziały się za całkowitym i powszechnym rozbrojeniem pod ścisłą kontrolą międzynarodową, które powinno objąć zarówno broń nuklearną, jak i konwencjonalną.

Wydarzeniem równie żywo komentowanym, jak układ radziecko-indyjski, są BERLIŃSKIE ROKOWANIA przedstawicieli czterech wielkich mocarstw. Optymistyczne, choć niezmiernie lakoniczne oświadczenia ambasadorów, wytworzyły przekonanie, że rozmowy na temat Berlina zachodniego weszły w fazę końcową i osiągnięto już wyraźny postęp. Z pewnością niektóre komentarze prasowe na Zachodzie były zbyt optymistyczne, trudności w rokowaniach bowiem jeszcze nie przezwyciężono. Mimo to 27 runda rokowań jest bardzo ważna, o czym m. in. świadczy częstotliwość spotkań ambasadorów. Przez szczelnie zamknięte drzwi sal obrad nie przedostają się żadne szczegóły rozmów, wiadomo jednak, że dyskusje toczą się nad wielu elementami „berlińskiego pakietu". Dochodzą słuchy o wzajemnych kompromisach w szczegółowych sprawach i w zbliżaniu stanowisk. Nie wyklucza się jednak, że na obecnym etapie nie będzie możliwe rozwiązanie wszystkich kwestii i ogłoszona zostanie przerwa na przemyślenie i zbilansowanie dotychczasowych wyników rozmów.

Podczas gdy omówione powyżej dwa wydarzenia przykuwały uwagę świata politycznego — na Bliskim Wschodzie wybuchł NOWY KONFLIKT WOJSKOWY I POLITYCZNY. Zbrojne wystąpienia oddziałów jordańskich przeciwko Syrii doprowadziły do zerwania przez rząd syryjski stosunków dyplomatycznych z Jordanią i zamknięcia obszaru powietrznego Syrii dla samolotów tego kraju. Wprowadza to Jordanię w głęboką izolację. Przypomnijmy, że jeszcze w ub. roku zerwała stosunki z Ammanem i wstrzymała pomoc finansową Libia, a następnie Algieria. Irak, choć formalnie utrzymuje stosunki, zamknął swą granicę z Jordanią i wycofał ambasadora. Teraz — być może — za przykładem Syrii pójdą i inne kraje arabskie. Byłby to dla Jordanii wielki cios, mogący wywołać poważne reperkusje wewnętrzne.

W. SŁAWSKI

Szacunek dla pracy

FELIKS BĄBOL

NIEDAWNO opowiadał mi pewien znajomy, jakie to przygody spotkały go na 300-km trasie z Łodzi na Wybrzeże, gdzie na wczasach znajdowała się jego córka i teściowa.

— Wie pan, zdecydowałem się pojechać, bo przez dwa tygodnie daremnie czekałem na jakiekolwiek wieści od nich. Nawet rozmowa telefoniczna zamówiona na tzw. awizo nie dała żadnego efektu. — Może chorzy, może jakieś nieszczęście? — niepokoiłem się. Zatankowałem do samochodu trochę benzyny i wyruszyłem w drogę. Pod Włocławkiem zabrakło mi paliwa. Podjeżdżam pod stację benzynową. — Nie mamy żółtej benzyny... — mówi mi pracownik stacji. — Nie macie? — przecież na tablicy wyraźnie napisaliście, że stale jest u was i żółta i niebieska! — Tak, ale akurat zabrakło żółtej... — No to niech pan już da niebieskiej... I ruszyłem w dalszą drogę lekceważąc sobie los silnika, któremu zaaplikowałem nie to paliwo, które powinien otrzymać — niepokój o dziecko i jego babcię dominował nad tym drobiazgiem w świecie usług. Więc zajeżdżam do owej miejscowości nadmorskiej, wpadam na pocztę i pytam, co się stało, że nie miałem rozmowy z moimi bliskimi. — To była rozmowa na awizo? — pyta urzędniczka. — Tak. — Zaczęli szukać śladów mego zlecenia. Długo to trwało — wreszcie sprawa się wyjaśniła. — Przepraszamy pana, ale — niech pan wybaczy — nie doręczyliśmy pańskiej teściowej awiza... — Przepraszali, obiecywali, że ukarzą tego, kto miał to awizo doręczyć, sumitowali się.

Niepokój rósł we mnie. Osiemdziesiątką popędziłem do wioski rybackiej, aby wreszcie stwierdzić, że i dziecko i teściowa są zdrowi. Uspokoiłem się, ale osad pozostał. Pomyślałem sobie: — Jak tu ma być dobrze, jeśli stacja benzynowa nie sprzedaje tego, co winna sprzedawać, jeśli poczta nie posyła awiza telefonicznego i zmusza obywatela, aby na własnych czterech kołach sprawdzał to, co mógłby sprawdzić w ciągu 3-minutowej rozmowy telefonicznej, jeśli lekarz...

— Jaki lekarz? — zapytałem.

— Zapomniałem panu dodać, że wieczorem po moim przyjeździe teściowa zaczęła się skarżyć na ból w oku. Powstał jakiś stan zapalny, czy coś w tym rodzaju. Przez noc ból się zwiększył. Rano więc zapakowałem teściową do samochodu i podjechałem pod miejscowy ośrodek zdrowia. — Czy to wypadek? — zapytano mnie w rejestracji. — Nie wypadek, po prostu teściową bardzo boli oko i proszę o skierowanie do okulisty. — Hm, jeśli to nie wypadek, to dostanie pan skierowanie dla niej za cztery tygodnie... Widzi pan, urlopy, mamy tylko jednego okulistę... Za cztery tygodnie?

Przedstawię się temu okuliście — pomyślałem, powiem, że przyjechałem aż z Łodzi i tylko na trzy dni, bo praca na mnie czeka, może ulegnie, może przyjmie babcię? — A czy pan doktor jest u siebie? — zapytałem. — Nie, teraz jest w szpitalu... Pojechałem więc do tego szpitala, układając sobie w myśli całe przemówienie działające na ludzką wrażliwość. Ale w szpitalu okulisty nie zastałem również — Może jest w domu? — zapytałem patrząc na puchnące oko teściowej. — Nie ma w domu — usłyszałem — pan doktor jest w tej chwili w ośrodku zdrowia... Nawet już siły nie miałem powiedzieć, że właśnie stamtąd przyjechałem. Widzi pan! Stacja benzynowa nie sprzedaje benzyny, poczta nie posyła awiza, lekarz nie jest do dyspozycji chorych...

* * *

Czasem wydaje się, że rację mają ci, którzy mówią:

— Granda polega na tym, że wielu ludzi tak się przyzwyczaiło do swych etatowych zajęć, że uważają, że pieniądze należą im się za to, że są na liście pracowników, a nie za pracę. Przy takim nastawieniu nie robią tego, co do nich należy, poświęcając cały czas tej etatowej „nibypracy" na szukanie „boków", „fuch" i innych zajęć. Szukają robót, bardzo często nie wykonywanych przez innych, podobnie traktujących swe obowiązki etatowe. Przecież nierzadko zdarza się, że instytucja czy przedsiębiorstwo zleca jakieś prace ludziom z zewnątrz, chociaż po głębszej analizie statutowych zadań instytucji i przedsiębiorstwa, prace te powinny być wykonane na miejscu.

Życie dostarcza wielu przykładów na to, że zanika uznawanie pracy jako najwyższej społecznej wartości, jako najwyższego dobra. Może spowodowała to powszechność tego dobra w naszych warunkach ustrojowych? Bo jak coś można uzyskać bez trudu — to widocznie nie jest godne wielkiego szacunku. A brak szacunku dla pracy jako wartości o wysokiej randze społecznej nieraz leży u podstaw ludzkiej uczciwości. Drobne kradzieże fabryczne, drobne kanty na szkodę przedsiębiorstwa, oszustwa podkopujące dobre imię instytucji — mają swe źródło nie tylko w braku szacunku dla prawa i społecznej własności, ale — i to przeważnie — w mało wychowawczym przekonaniu, że „jak mnie tu złapią, to pójdę gdzie indziej".

Niedawno przysłuchiwałem się dyskusji telewizyjnej przeprowadzonej na temat afery mięsnej w Poznaniu. Uczestnicy dyskusji — moim zdaniem — zastosowali stary schemat — apelowali o zwiększenie kontroli — i wewnętrznej w zakładzie pracy i społecznej. Wydaje się, że ilość kontrolerów nie przebuduje człowieka, nie zmieni go. Potrzebne są raczej jakieś sankcje, jakieś bodźce działające na odczucie i wyobraźnię. Jeśli nie zdobędziemy się na bardziej psychologicznie oddziaływające mechanizmy, człowiek zostanie takim jakim jest — najwyżej wysili swą inteligencję, aby przecisnąć się przez ową gęstą sieć kontrolerów, o której mówiono w telewizyjnej dyskusji.

* * *

Ci, którzy są na bakier z uczciwością nie stanowią, jak wykazuje obserwacja, liczniejszej grupy od tych, którzy w czasie swej pracy udowadniają, że są na bakier ze społecznym sensem wykonywanej roboty. Pracownica punktu obsługi telewizyjnej czy radiowej z uporem maniaka odmawia przyjęcia przez telefon zlecenia na naprawę aparatu, zmuszając klienta do osobistego stawienia się w jej biurze i lekceważąc sobie zupełnie straty gospodarcze wynikające z niepotrzebnych zwolnień z pracy. Pracownicy MPK godzinami spisują protokoły w każdym przypadku zadrapania wagonu tramwajowego czy autobusu przez mijające pojazdy, blokując ruch na najbardziej nieraz ruchliwych trasach.

Tysiące ludzi kilometrami brnie pieszo, spóźniając się do pracy. A przecież wystarczyłoby spisanie przez kierowcę lub motorniczego MPK numeru samochodu, który zadrapał wagon, zostawiając całą procedurę protokołów, zeznań itp. odpowiedniej komórce w dyrekcji tej instytucji? Wystarczyłoby — gdyby nad wąskim pojmowaniem obowiązków górował interes bardziej ogólny, społeczny. Takie myśli opanowały mnie owego dnia, gdy byłem świadkiem sparaliżowania komunikacji na ul. Narutowicza, gdzie przepisy oderwane od życia udaremniły kursowanie przez dłuższy czas aż czterech linii tramwajowych.

Doszlibyśmy chyba do ciekawych wyników sprawdzając choćby wyrywkowo, które z przedsiębiorstw, urzędów czy instytucji tak dalece „zaopatrzyło się" we własny statut, w funkcjonowanie narosłych mechanizmów administracyjno-biurokratycznych, że z biegiem lat przestało spełniać funkcje, do których zostało powołane (patrz: teoria Parkinsona). Bo przedsiębiorstwa komunikacyjne powołane zostały do rozwiązywania problemów komunikacji masowej, poczta — do ułatwiania łączności między obywatelami, a ZURT — do jak najszybszego reagowania na usterki i awarie w sprzęcie radiowo-telewizyjnym.

* * *

Powagi problemów nie powinny nam przesłaniać symbole w postaci kiosków z piwem będących w przekonaniu niektórych ludzi największym złem naszych czasów, bo nie w tym rzecz. Sprzedaż piwa w kioskach można zlikwidować w ciągu jednego dnia, nie likwidując bynajmniej problemu zasadniczego, którym jest świadome, obywatelskie współuczestnictwo w toczących się przeobrażeniach. Ale do tego niezbędna jest rewizja ocen — i ludzi odpowiedzialnych za określone i ważne społecznie funkcje i zjawisk pokutujących w naszym życiu. A przede wszystkim przykład. Zacznijmy pracę nad podniesieniem rangi naszych zadań i ich znaczenia dla społeczeństwa na początek — od samych siebie.

ANDRZEJ GRUN — Pejzaż śląski (grafika)

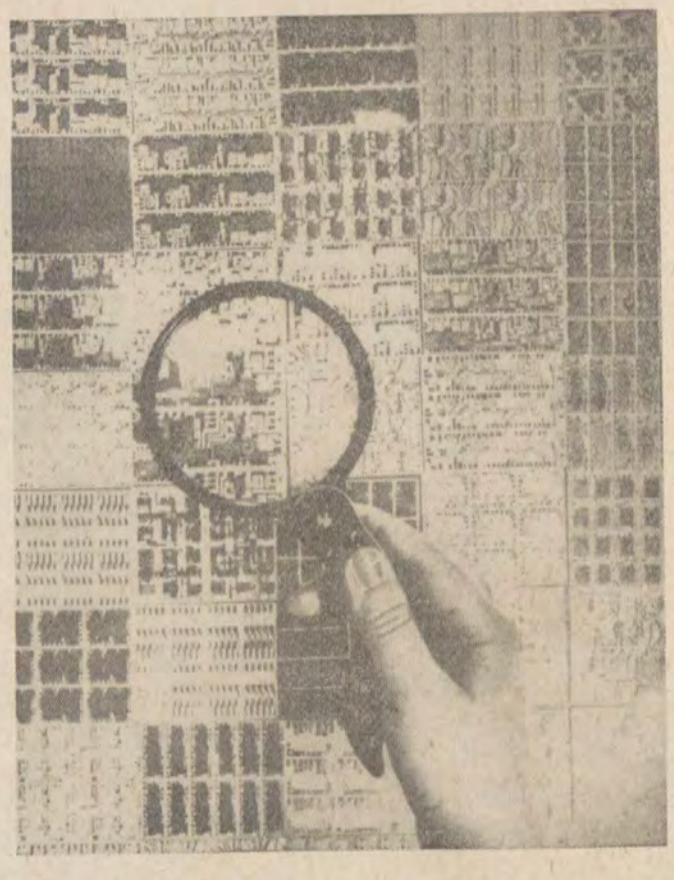

Horoskop

(Dalszy ciąg ze str. 1)

płynących „z góry" z odczuciem „dołów", które nie potrafiły dorachować się tego postępu w zasobności domowego koszyka czy we własnym portfelu. Ekonomiści używają w takich przypadkach pojęcia „wzrostu jałowego". Mówiąc prościej: dzieje się tak w sytuacji gdy zdecydowanie większa część przyrostu produkcji zużywana jest w sferze wytwarzania i nie przyczynia się do wzrostu rozmiarów społecznego spożycia.

Ten nieco teoretyczny wywód daje się łatwo zamienić w konkret, przy czym za podstawę do porównań służyć nam będą kraje socjalistyczne należące do Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Otóż właśnie: na przestrzeni kilku ostatnich lat w takich krajach jak ZSRR czy Węgry produkcja wyrobów tzw. „grupy B" czyli ogólnie mówiąc produktów przeznaczonych do konsumpcji w najszerszym tego słowa rozumieniu, wzrastała szybciej aniżeli „grupy A" będących odwrotnością tych pierwszych. W naszym kraju było zupełnie inaczej: jeśli porównamy sytuację z roku 1965 i 1969 to okaże się, że udział produkcji przedmiotów spożycia w ogólnej produkcji przemysłowej Polski zmniejszył się z 37 do 34 proc. Była to nie tylko stagnacja w tej dziedzinie, ale cofanie się.

Rezultaty? Choćby problem mieszkaniowy. W Polsce, w porównaniu do innych europejskich krajów RWPG, rysuje się on najostrzej, przeciętne zagęszczenie jednej izby mieszkalnej jest u nas największe. Równocześnie w latach 1960—67 budowano w Polsce najmniej mieszkań, jeśli nie brać pod uwagę NRD. No tak, ale u naszego zachodniego sąsiada sytuacja mieszkaniowa była i jest o wiele lepsza. W ZSRR, w omawianym tutaj okresie, budowano dwukrotnie więcej mieszkań niż w naszym kraju.

Pozostałe fakty można już traktować jako społeczno-gospodarcze imponderabilia, choć i one są niezwykle wymowne. A więc:

- **pod względem ilości telewizorów — licząc na 1000 mieszkańców — za nami była tylko Rumunia i Bułgaria;**
- **na 1000 rodzin, w Czechosłowacji, NRD i na Węgrzech, przypada znacznie więcej lodówek niż w Polsce;**
- **podobnie ma się rzecz jeśli chodzi o zmechanizowany sprzęt domowy, a więc wszelkiego rodzaju odkurzacze, „roboty", froterki itp.;**
- **na 1000 mieszkańców samochodów osobowych przypada w NRD, CSRS, na Węgrzech znacznie więcej niż w Polsce, przy czym jeśli chodzi o NRD to wyprzedzili nas sąsiedzi zza Odry czterokrotnie, a Czechosłowacy aż pięciokrotnie.**

Po co o tym piszemy przy okazji „horoskopu" dla Polski roku 2000?

Rzecz w tym, że dopiero po konfrontacji z tymi faktami z przeszłości i teraźniejszości bardziej zrozumiałe stają się posunięcia ekonomiczne przewidywane m. in. w wypowiedzi premiera Piotra Jaroszewicza o zadaniach na lata 1971—75. Będą to więc lata „buforowe": odrabiania i doganiania, a także wypracowania dogodnej pozycji startowej, której metą w tym pościgu będzie oblicze Polski roku 2000. A to, wbrew pozorom, całkiem bliska perspektywa. Wszystkiego — niespełna 29 lat.

No, ale właśnie: jaką — w obrazie, w widzeniu futurologów będzie Polska... drugiego Millenium?

Trudno przewidzieć tutaj każdy szczegół, wszak mamy do czynienia z horoskopem, wprawdzie naukowym, ale zbyt wiele czynników, jak choćby sytuacja polityczna w świecie, może wiele z tych prognoz przekreślić lub zupełnie odwrócić. Załóżmy jednak: wszystko pójdzie mniej więcej dobrze, chciałoby się powiedzieć — „w normie". I wtedy, w jakim kraju, myślę tutaj o jego kształcie społeczno-gospodarczym, będziemy żyli?

Przede wszystkim — jak to szacuje prof. A. Rajkiewicz — wśród 40 mln mieszkańców, które zaludniać będą Polskę roku 2000, około 24 mln stanowić będą obywatele PRL, już dziś żyjący. Z tej liczby 24 mln osób, 6 mln będzie czynnych zawodowo. Należy przypuszczać, że nasz dochód narodowy będzie wzrastał w tempie 6—7 proc. rocznie i w roku 2000 Polska ma wszelkie szanse ku temu, by legitymować się 4.000 dolarów dochodu narodowego — znowu licząc na jednego mieszkańca.

Oczywiście, będzie to rezultat nie tylko odrobienia w szybkim tempie, w okresie „buforowym", owego dystansu jaki nas dzielił od innych krajów, ale przede wszystkim wynik poważnych przemian strukturalnych i jakościowych w ekonomice.

Czym się będą one wyrażały?

Powołamy się tutaj na opinię prof. K. Secomskiego: — „Należy sądzić, że ten wysoki dochód narodowy lokujący nas w rzędzie państw zamożnych i wysoko rozwiniętych będzie wytwarzany przez 3 mln ludzi zatrudnionych w rolnictwie i leśnictwie, 11 mln pracujących w przemyśle oraz budownictwie i 10 mln osób zaangażowanych w świadczeniu usług".

Co to znaczy w skali przeobrażeń jakie nas czekają świadczy jedno porównanie: w roku 1971 w sferze usług zatrudnionych było w naszym kraju tylko 5,5 mln osób, zgoła odmienne proporcje występowały też jeśli chodzi o strukturę zatrudnienia w rolnictwie oraz przemyśle.

Te daleko idące przemiany będą wymagały również prawdziwej rewolucji jeśli chodzi o wykształcenie i nasi futurolodzy z Komitetu „Polska 2000" stwierdzają, że jeśli w roku 1970 na 100 osób w wieku 20 i więcej lat, tylko 30 posiadało średnie lub wyższe wykształcenie, to już w etapie pośrednim do skoku „w rok 2000" 55 osób na 100 będzie się legitymować średnim i wyższym wykształceniem, a w roku 2000 liczba ta urośnie do 90 osób.

Chyba jednak najbardziej znamienne dla przeobrażeń, jakie powinny nastąpić w naszym kraju w ciągu nadchodzących 29 lat, będą przesunięcia w dziedzinie charakteru produkcji przemysłowej. Około 75 proc. wszystkich wyrobów pochodzić będzie z takich gałęzi jak przemysł elektromaszynowy, przemysł chemiczny oraz energetyka co oznacza, że odejdziemy w sposób zdecydowany od obecnej tradycyjnej struktury.

Te przemiany strukturalne w gospodarce, zapowiadane przez naszych futurologów, dadzą o sobie znać jeszcze innymi zjawiskami społeczno-ekonomicznymi, które będą miały zarówno pozytywne jak i negatywne znaczenie. Przynajmniej tak twierdzą socjolodzy. Choćby tworzenie wielkich aglomeracji miejskich. Wiadomo już np. że na przestrzeni 29 nadchodzących lat odbywać się będzie w naszym kraju w dalszym ciągu proces formowania i rozwoju 16 aglomeracji miejsko- przemysłowych, z których 7 stanowić będą prawdziwe, jak na nasze warunki, olbrzymy. Myślimy tu przede wszystkim o wielkiej aglomeracji katowickiej, która skupi 3.032 tys. mieszkańców, warszawskiej, łódzkiej z 932 tys., podsudeckiej, staropolskiej oraz gdańskiej. Futurolodzy przewidują, że będziemy również świadkami narodzin polskiego „Megalopolis" wielkiego ośrodka o zintegrowanej gospodarce rozciągającego się między Warszawą a Łodzią, przyciągającego również takie ośrodki jak Piotrków Tryb., Tomaszów oraz inne drobniejsze dziś centra miejskie, rozsiane wokół stolicy oraz Łodzi.

Staniemy się więc społeczeństwem przemysłowym, posługującym się złożoną i skomplikowaną techniką. Jakie jednak skutki społeczne, chciałoby się powiedzieć socjalne, pociągną te właśnie przemiany zapowiadane przez futurologów na lata po rok 2000? Należy sądzić, że w roku 2000 około jednej trzeciej ludności żyjącej w aglomeracjach przemysłowych oraz ośrodkach miejskich będzie dysponowało domkami jednorodzinnymi, a sytuacja mieszkaniowa powinna ulec bardzo radykalnej zmianie. Szacunkowo biorąc, na jedną izbę powinno wypadać nieco mniej niż jedna osoba, co oznaczałoby pociągnięcie do poziomu jaki w tej dziedzinie ma dziś Dania. Z innych ciekawostek zapowiadanych przez futurologów i wobec ogólnonarodowej pasji motoryzacyjnej, wypada jeszcze wymienić także mówiące, iż jeden samochód przypadać będzie na 6 mieszkańców co w sumie powinno dać 6 do 6,5 mln. samochodów osobowych krążących po drogach naszego kraju. Właśnie: co się będzie wtedy działo na naszych drogach?,

Prognozy mówią, że Polska roku 2000 ma być organizmem wysoko i nowocześnie zorganizowanym, o rozmaitych formach produkcyjnych, gdzie dominującą rolę spełniać będzie przemysł. Taki jest horoskop na „jutro". Ale wielka gra rozpoczęła się już dziś.

KRZYSZTOF POGORZELEC

RYSZARD PANASIUK

Dzieło György Lukácsa

MYŚL filozoficzno-społeczna Gyorgy Lukacsa ma to samo źródło i przebiega tym samym szlakiem, co myśl Lenina, Róży Luksemburg, Antonia Gramsciego. W planie społecznym Lukacs, podobnie jak wspomniani wyżej rewolucjoniści występuje przeciw oportunizmowi i reformizmowi liderów II Międzynarodówki. W planie filozoficznym — walczy (w tym też jest zgodny z Różą i Leninem) z rozpowszechnionymi w socjaldemokracji niemieckiej próbami przeszczepienia na grunt marksizmu współczesnych, obcych marksizmowi teorii naturalistyczno - scjentystycznych, płaskiego racjonalizmu i pozytywistycznego ewolucjonizmu. Cała dojrzała działalność intelektualna Lukacsa — to walka o marksizm jako oryginalną, samodzielną, opartą o materialistyczno-dialektyczne podstawy filozofię. Trzeba powiedzieć, że przygotowanie do tej walki posiadał głębokie i wszechstronne, obdarzony też był niemałymi zdolnościami — co przy mrówczej pracowitości myśliciela i długim życiu wydało owoc w postaci dzieła bogatego w idee i znaczącego w dziejach kultury europejskiej.

Swoją edukację filozoficzną otrzymał Lukacs od myślicieli niemieckich, którzy w ostatnim dziesiątku lat XIX wieku podjęli radykalną krytykę pozytywizmu i scjentyzmu. Był to płodny okres w kulturze zachodniej, zwany zazwyczaj okresem modernizmu. Antypozytywistyczny (antyscjentystyczny, antynaturalistyczny, antyracjonalistyczny) bunt znaczony jest takimi nazwiskami, jak Nietzsche, Dilthey, Bergson, Windelband, Rickert, Husserl, Simmel, Max Weber, Ortega y Gasset, Cassirer — by wymienić tylko największych. Młody Lukacs, którego myśl formowała się początkowo pod wpływem neokantyzmu, szybko przystał do orientacji określanej w Niemczech mianem Geisteswissenschaften (nauk o duchu)[1]. Pozostając pod przemożnym wpływem metodologii nauk humanistycznych Dilthey'a Lukacs od neokantyzmu przechodzi do fascynacji myślą historyczno-dialektyczną Hegla. W duchu heglowsko-diltheyowskim została napisana pierwsza wielka jego praca **Teoria powieści** (powstała na przełomie 1914/15). Praca ta, uważana za jedną z najwybitniejszych z kręgu Geisteswissenschaften odegrała ogromną rolę inspirującą w humanistyce europejskiej i dziś jeszcze budzi zainteresowanie[2].

Na szczególne podkreślenie zasługuje, że Lukacs nie będąc jeszcze marksistą już w **Teorii powieści** wyraził radykalnie swoją niechęć do systemu kapitalistycznego, dostrzegłszy w nim siłę destrukcyjną w stosunku do wartości tworzonych przez kulturę duchową. Poza tym, zagłębiwszy się w heglizm znalazł się na szlaku idei, które prowadziły do Marksa. Zdecydowany kierunek jego ewolucji duchowej nadały wydarzenia wojenne 1914—18 i ich rezultat końcowy — Rewolucja Październikowa. Lukacs wstępuje do Komunistycznej Partii Węgier. W roku 1919 obejmuje funkcję ludowego komisarza oświaty w rewolucyjnym rządzie Beli Kuna. Był też przez pewien czas komisarzem politycznym V Czerwonej Dywizji.

Po klęsce rewolucji węgierskiej przebywa na emigracji w Austrii i w Niemczech. W tym czasie pisze serię artykułów, które następnie ukazały się pod wspólnym tytułem **Historia i świadomość klasy** (1923). W książce tej Lukacs, kontynuując swoją antypozytywistyczną i antyreformistyczną orientację, poddał analizie fundamentalne dla metodologii i filozofii marksistowskiej problemy.

Inspirując się tradycją heglowską zwrócił szczególną uwagę na dialektyczny związek między świadomością podmiotu, jego subiektywnością, a obiektywnymi uwarunkowaniami w procesie historycznym; naszkicował marksistowską koncepcję osobowości, zaakcentował rolę czynnika aktywno-ludzkiego w dziejach (rola pracy, **praxis**). Uzasadniał przy tym odrębność faktu społecznego w stosunku do faktu nauk przyrodniczych, podkreślił rolę całości dynamicznej przy poznawaniu zjawisk społecznych oraz wprowadził do interpretacji społecznego procesu poznania i jego rezultatów sławną już kategorię „świadomości potencjalnej", tj. świadomości klasy związanej z jej rzeczywistą sytuacją w dynamicznie ujętej strukturze społeczeństwa. Szczególnym novum pracy Lukacsa było wydobycie obecnej w twórczości Marksa i zapoznanej następnie całkowicie kategorii reifikacji (urzeczowienia) oraz zastosowanie jej do interpretacji zjawisk świadomości społecznej i kultury. W przeciwieństwie do scjentystycznej wersji marksizmu spopularyzowanej przez Kautsky'ego i jego uczniów Lukacs przywrócił pełny blask dialektyczno-historycznej perspektywie tej filozofii, wydobył jej — tak silne szczególnie w młodzieńczych pismach Marksa — pierwiastki antropologiczno-humanistyczne i aktywistyczne. Trzeba dodać przy tym, że Lukacs — podobnie jak tworzący później w więzieniu faszystowskim Gramsci — nie znał wtedy młodzieńczych pism Marksa, gdyż zostały one odkryte i opublikowane nieco później.

Wspomniana książka Lukacsa spotkała się z krytyką w ówczesnych środowiskach marksistowskich. Przyjęcie jej utrudniały zarówno skrajność nie pozbawionego akcentów spekulatywnych stanowiska autora jak też silne wpływy scjentyzmu w marksizmie oraz narastające stopniowo tendencje sekciarsko-dogmatyczne. Mimo że Lukacs sam później odciął się od niektórych tez swego dzieła, ożywcze i inspirujące działanie Geschichte und Klassenbewusstsein trwało i trwa dziś jeszcze. Książką tą zapewnił sobie Lukacs miejsce w historii myśli europejskiej jako jeden z najbardziej śmiałych i oryginalnych pisarzy marksistowskich.

Do dojściu Hitlera do władzy Lukacs osiedla się w ZSRR, gdzie przebywa do zakończenia wojny. Tu poświęca się nauczaniu filozofii oraz pracy naukowej i publicystycznej. Szczególnie aktyw-

Dalszy ciąg na str. 4

JERZY WILMAŃSKI

ODNOWA KRYTYKI

KRYTYKOWAĆ — ZNACZY GODZIĆ W ZASADY USTROJU. Tak w skrócie pojmowano przez czas dość długi — od góry do dołu — wszelką krytykę. Nieważne, że krytyka np. bałaganu w konkretnym miejscu nie dotyczyła funkcjonowania Państwa lecz funkcjonowania biura. Odpowiedzialny za bałagan, momentalnie utożsamił się z socjalizmem, partią, władzą ludową. Ergo — krytyka godziła w zasady ustroju. Zręczniej było „bronić" ustroju niż bronić siebie.

Na takie postawy, na taką reakcję nie było mocnych. Zwłaszcza, że nad taką postawą unosił się majestat bardzo wysokich szczebli. Przez te lata wypracowano więc szereg niezawodnych metod reakcji na krytykę, metod, które stosowano powszechnie.

Uchwała Rady Ministrów z dnia 7 sierpnia br. wnosi do tego kręgu spraw szereg nowych ważnych postanowień. Zabezpiecza w ten sposób prawidłowość realizacji KPA — kodeksu, który istniał przecież także w minionych latach, ale... Właśnie. Uchwała kładzie kres paradoksalnym sytuacjom, w których skarga, krytyka trafiały do rąk... krytykowanych lub odpowiedzialnych za krytykowany stan rzeczy. W sytuacji sprzyjającej krytykowanym a nie krytykującym ci pierwsi mieli z reguły rację niejako z tytułu funkcji. W takim klimacie oddolna krytyka społeczna traciła swój konstruktywny sens.

Z moich dziennikarskich doświadczeń znam wiele przypadków tak nieprawdopodobnych reakcji na krytykę, że opadały ręce. Dziennikarz zresztą był zawsze w nieco lepszej sytuacji — co najwyżej czekały go wyzwiska i insynuacje lecz raczej rzadko tracił pracę. Ale szeregowy pracownik, który podnosił głos krytyki?

Napisałem kiedyś o sprawie, która stała się głośna w kraju — mianowicie o znalezieniu w składnicy makulatury w Łodzi 10 kg niedoręczonych listów. Jak wynikało z późniejszego wyjaśnienia do skandalu doszło na skutek nieznakowania worków z makulaturą i listami wskutek czego nastąpiła pomyłka. No cóż — zdarza się. Ale zanim doszło do tego wyjaśnienia u redaktora naczelnego gazety, w której opublikowałem felieton na ten temat zjawiła się delegacja dyrekcji łódzkiej poczty z... donosem. Felieton miał rzekomo spowodować... sytuację strajkową wśród personelu. Przyznam się, że z tak bezczelną metodą reagowania na krytykę spotkałem się po raz pierwszy.

Nie można było zaprzeczyć faktom — 10 kilogramów listów odnalazł przypadkowo pracownik składnicy — chwycono się więc metody insynuacji.

Bywało także inaczej. Jeśli kontrowersja istniała nie w sferze faktów lecz poglądów a z tymi dyskutować krytykowanym było niewygodnie — uciekano się do wyzwisk. Wyskok członka dyrekcji MPK na zebraniu załogi w listopadzie ub. roku kwalifikował się właściwie do sądu tak jak każda prymitywna i chamska zaczepka. Trudno jednak, ceniąc powagę sądu, sprowadzać nieodpowiedzialny wybryk przed majestat prawa. Zwłaszcza, że ów urzędnik — był przecież tylko ilustracją określonego stylu myślenia (czy bezmyślności), ukształtowanym przez zasadę, że „państwo to ja" — z racji funkcji, biurka i fotela.

Sobiepaństwo, mentalność zadufka i kacyka w dziedzinie krytyki oddolnej czyniły zawsze największe spustoszenie. Normalni, zwykli ludzie wiedzą dobrze, że mogą im zdarzyć się błędy, pomyłki, że mogą się mylić, że może im się w pracy coś nie udać... Zadufek, któremu się wydaje, że uzyskał wyłączny mandat od socjalizmu za występowanie w jego imieniu nie myli się nigdy, wszystko wie najlepiej i wszystko co robi jest znakomite.

Społeczna, oddolna krytyka jest po to aby zadufków sprowadzić na ziemię. To jej aspekt psychologiczny. Coś w rodzaju biura zleceń, w którym zamawia się budzenie nie raz na czternaście lat, ale codziennie. A aspekt społeczny — to przecież wspólna troska o to aby wokół nas było lepiej, porządniej, gospodarniej.

Jeśli mamy działać lepiej, to pierwszym etapem owego działania musi być dostrzeganie gdzie i co jest naprawy. W społecznym ruchu odnowy jest więc miejsce dla społecznej krytyki i jest miejsce na rzetelną reakcję na nią. Nie ma natomiast miejsca na przyjmowaną a priori podejrzliwość wobec krytyki, na insynuacje i represje wobec krytykujących.

Reakcje takie były możliwe, zgodnie z zasadą, że aktywistą i patriotą jest wyłącznie ten, kto potakuje, kto zawsze się zgadza z opinią zwierzchności. Ci natomiast, którzy w imię wspólnego dobra wskazują na braki, którzy wytykanie nieprawidłowości traktują jako pierwszy — podstawowy krok do zmian na lepsze — ci wszyscy z reguły otrzymywali niegdyś etykietę malkotenta.

Czytałem niedawno w „Głosie Robotniczym": „Na miano aktywisty nie zasługiwał na ogół ten, kto na zebraniach krytykował, nieco ostrzej widział problemy". Tak jest! Aktywistą bywał z reguły — o paradoksie — najmniej... aktywny, ten, co zawsze się godził z opinią przyniesioną z góry, ten, który nie wyjawiał najczęściej własnego zdania, bo, po prostu, wygodniej było przyjmować opinię oficjalną za swoją.

A przecież czas „ogniowej próby" ujawnił, że owa linia podziału przebiega inaczej. Że ten, kto widzi zło i nieprawidłowość, kto krytykuje nonsensy — bardziej aktywnie i prawdziwie zmierza do naprawy niż ten, kto przymyka oczy na rzeczywistość i czeka na opinię z góry.

Linia podziału między posłusznymi „potakiewiczami" a niesfornymi nieraz krytykami nie jest więc linią podziału na aktywnych i malkontentów, jak to kiedyś próbowano dowodzić. Ta linia jest bardziej skomplikowana.

Bowiem po jednej i po drugiej stronie liczy się rzeczywiste zaangażowanie, liczy się dobrze i mądrze pojęty interes społeczny i twórczy stosunek do pryncypiów naszego ustroju. Ktoś powiedział kiedyś mądrze, że motorem postępu jest niezadowolenie. Chodzi w tym stwierdzeniu o to, że samozadowolenie, zgoda na status quo — hamuje postęp, rodzi stagnację.

I właśnie ci, którzy z zaangażowaniem, w imię poprawy i naprawy występują z mądrym głosem krytycznym — ci właśnie zasługują na miano prawdziwych aktywistów. A nie „potakiwacze", którym bardziej zależy na łaskawości zwierzchnika niż na dobrze pojętym społecznym interesie.

Komunikat PAP, informując o Uchwale Rady Ministrów z dnia 7 sierpnia 1971 r., stwierdza: „Dokument ten jest kolejnym aktem prawnym o dużym znaczeniu społeczno-politycznym. Jego celem jest utrwalenie i pogłębienie wzajemnego zaufania między państwem i społeczeństwem". Właśnie. Owo obopólne zaufanie rozwijać się może i powinno w atmosferze społecznej potrzeby konstruktywnej krytyki niedociągnięć, wspólnego eliminowania zła i w przekonaniu, że krytyka nie jest oportunistycznym malkontenctwem, ale rodzi ją troskliwe, gospodarskie spojrzenie obywatela naszego kraju.

POLONICA

ZJAZD PISARZY W MOSKWIE

W dniach od 29 czerwca do 3 lipca br. obradował w Wielkim Pałacu Kremlowskim w Moskwie V Zjazd Pisarzy Radzieckich. Oprócz pisarzy rosyjskich i republikańskich wzięli w nim udział przedstawiciele literatur krajów demokracji ludowych, w tej liczbie przedstawiciele polscy: Jarosław Iwaszkiewicz i Jacek Czesław Centkiewicz. W „Litieraturnoj Gazetie" z 7 lipca br. ukazały się materiały zjazdowe: referaty, sprawozdania i głosy w dyskusji oraz prezentacja gości zagranicznych. Listę tych ostatnich otwiera Jarosław Iwaszkiewicz, którego wypowiedź, ozdobioną zdjęciem autora, podano na pierwszym miejscu.

Warto przy tej sposobności przypomnieć, że twórczość Jarosława Iwaszkiewicza cieszy się w ZSRR dużą popularnością. Ukazują się tam nie tylko jego utwory prozatorskie i poetyckie. Wystawia się również jego sztuki oraz publikuje artykuły i rozprawy, poświęcone omówieniu twórczości pisarza. jk.

POLONICA

Dzieło György Lukácsa

Dalszy ciąg ze str. 3

na jest jego działalność we froncie pisarzy antyfaszystowskich. W badaniach naukowych zwraca się ku problematyce, która pasjonowała go od początku drogi twórczej — ku estetyce oraz teorii i historii literatury. W tym czasie powstają takie dzieła jak **Marks i Engels jako historycy literatury**, wielki traktat **Powieść historyczna**, liczne eseje i studia nad kulturą i literaturą francuską, niemiecką i rosyjską XIX wieku. Szczególne miejsce w tych badaniach zajmuje wielka powieść realistyczna ubiegłego wieku.

Wychowany na klasycznej literaturze i filozofii niemieckiej Lukacs przypisywał twórczości artystycznej wielką rolę w życiu społecznym. Sztuka, według niego, jest elementem składowym procesu dziejowego, w wyniku którego człowiek przechodzi od „natury" do „kultury", wychodzi ze stanu pierwotnej bezrefleksyjności i spontaniczności, pogodzenia z sobą i kosmosem, by wejść do świata rozczłonkowanego i nieprzejrzystego, świata, który musi być poddany refleksji i wartościowaniu. Ten schemat historiozoficzny, którego fundamenty kładli Schiller, romantycy i Hegel, a zrąb zbudował Marks, charakteryzuje się tym, że proces antropogenezy w kulturze i historii oceniany jest w nim ambiwalentnie. Powstanie człowieka dojrzałego, duchowo bogatego, rozwiniętego i refleksyjnego dokonuje się za cenę utraty pierwotnej jedności, harmonii z naturą, zamkniętym i zrozumiałym universum. Przejście od „natury" do „kultury", przejście, z którym jednoznacznie łączą się — zarówno dla Hegla jak Marksa i Lukacsa — wartości antropogenne, może być porównane do przykrości, która dotknęła pierwszych rodziców wygnanych z raju.

Nie ten jednak motyw wspomnianej historiozofii jest w niej najważniejszy. Sam proces „hominizacji" w kulturze i historii zawiera immanentny mu moment „negatywności". Oto człowiek (ludzkość) rozwija się w procesie historycznym w ten sposób, iż formuje za pośrednictwem pracy przyrodę, „uczłowiecza" ją, czyni podatną dla specyficznie ludzkich celów; powstaje nowy porządek w świecie — porządek kultury i stosunków społecznych. Duch ludzki, inteligencja i sprawności formujące się „w dialogu z rzeczami", w momencie gdy przybierają postać uformowanych tworów stają się „zreifikowane", zaczynają niejako żyć własnym, niezależnym od intencji i zamiarów podmiotu ludzkiego życiem. Świat kultury, będący jakby narzędziem przezwyciężenia przyrodniczych determinant bytu człowieka, staje się oto źródłem zniewolenia go. Wyzwalając się od przyrody człowiek popada w zależność od zreifikowanego świata własnych wytworów, świata kultury. Powstałe sytuacja opisana w balladzie Goethego **Uczeń czarnoksiężnika.** Wyobcowanie się od człowieka jego własnych wytworów pod postacią świata kultury (proces ten w historii narasta, by w kapitalizmie osiągnąć kulminację) na swoje wielorakie, negatywne dla ludzkości skutki. Oto bowiem podmiot, który jako promotor kultury jest jej celem pierwotnym, w świecie tym spada do roli środka, narzędzia. Nad człowiekiem obejmuje władzę świat stosunków rzeczowych rządzący się swoimi bezwzględnymi prawami. Niewolnictwo i inne formy eksploatacji człowieka są historycznymi formami wyrazu tej władzy. Człowiek staje się sługą abstrakcyjnego bogactwa, podlega przypadkowi i koniecznościom życia ekonomicznego. Jego zaś życie zredukowane zostaje do fragmentarycznej aktywności (postępujący podział pracy), ściśle reglamentowanej, do wyznaczonej mu przez przypadek urodzenia i okoliczności roli społecznej. Praca, czynnik antropogenny, forma działalności, dzięki której człowiek wydźwignął się ponad zwierzęcy poziom bytowania, aktywność więc stanowiąca esencję człowieka, staje się w tej sytuacji środkiem jedynie utrzymania go przy życiu, zaspokojenia jego potrzeb zredukowanych do poziomu zwierzęcego. Tak więc widzimy, że kultura w pewnych historycznych formach swego rozwoju globalnie manifestując postęp człowieka w jego panowaniu nad przyrodą (nauka i przemysł), będąc świadectwem „hominizacji" istoty ludzkiej, w planie jednostkowym przyczynia się do animalizacji człowieka, spycha go z powrotem do stanu zwierzęcości, „naturalności" będącej produktem kultury, „naturalności", która łącząc się z **brakiem** (niemożliwością zaspokojenia rozbudzonych społecznie potrzeb) rodzi cierpienie. Dokonuje się tu degradacja wartości specyficznie ludzkich, personalnych, na rzecz wartości rzeczowych, pozaludzkich. Więź międzyludzka traci osobowy, bezpośredni charakter na rzecz więzi nieosobowej, pośredniej. Ludzie wchodzą w stosunki między sobą występując wzajem wobec siebie nie jako cele, lecz jako środki. Człowiek poszukuje drugiego człowieka nie jako wartości samoistnej, lecz jako nosiciela wartości rzeczowej. Ten typ relacji międzyludzkiej, opartej na systemie pośrednictwa i wymiany przedmiotów prowadzi do daleko idącej mistyfikacji świadomości indywiduów w owej wymianie uczestniczących. Zamkniętemu w klamrach alienacji człowiekowi świat jawi się jako rzeczywistość zastana, dana, której mechanizmy poruszające są głęboko ukryte. Widzi on rzeczywistość społeczną w odwróconym porządku środków i celów, tworzy uporządkowane systemy iluzji, które mają racjonalizować ład napiętnowany nieracjonalnością. Swojskość tego świata, pojawiająca się jako rezultat zabiegów zmistyfikowanej racjonalizacji która dokonuje się np. w świadomości religijnej, w wulgarnej burżuazyjnej ekonomii politycznej itd.) jest jednak tylko powierzchowna, w istocie człowiek funkcjonujący w owym świecie jako wartość zdegradowana czuje się źle, narasta w nim poczucie zagrożenia i lęku przed mającymi swe źródło w jego społecznym bycie anonimowymi i irracjonalnymi mocami. Na-

RYSZARD BINKOWSKI

Spowiedź bez konfesjonału

Masz śliczne, brązowe oczy, ubierasz się szałowo, inteligentna jesteś i cholernie zgrabna. Oglądają się za tobą chłopaki i stare pryki, w dżungli miasta napastują cię sutenerzy. Przytakujesz. Ale co będzie dalej? W październiku skończysz osiemnaście lat i staniesz przed sądem dla dorosłych. To nie Izba Dziecka, ani sąd dla nieletnich. Dostaniesz wyrok i pójdziesz do pudła. Między stare recydywistki, które cię nieźle podszkolą. Że co, że to „miodolatki"? Tam są właśnie te młode, a już stare z recydywy. Aha, mówisz, że pójdziesz do technikum. Ale zastanów się, jak cię przyjmą w twoim miasteczku, kiedy zostaniesz tam dokonwojowana? Krzyczysz, że się przyczepiam, że za dużo pytań zadaję. Sama chcesz wszystko wyjaśnić? Proszę bardzo. Mów, opowiedz o swoim życiu, które ci tak bardzo ciąży.

• • •

— U nas w domu żadnych gazerów nie było. Ani w dalszej rodzinie. A mój stary to był równy gość, pracował w takim ciekawym zawodzie, stale z ludźmi, różnymi typami, to potem opowiadał wieczorami; słuchałam, przeżywałam wszystko jak w telewizyjnej „Kobrze". Strasznie byłam za moim starym, bo mnie brał na kolana, a potem, już w podstawówce brał mnie na spacery, do kina. Trzy lata temu, to już czwarty rok, jak umarł...

— W telefonogramie do Izby Dziecka pisze, że matka po ciebie nie przyjedzie bo ma cię dosyć. Pieniędzy, mówi, nie ma na drogę. Jak to jest, powiedz...

— To jest tak, proszę pana, że w tej naszej chacie jest za dużo spokoju. Matka nie ma się z kim kłócić. Nuda... Jak w całym miasteczku, przez które parę razy na dobę przeleci pociąg. Matka strasznie zatyrana, bieda nas gniecie, bo prócz mnie jeszcze troje rodzeństwa, które w podstawówce plincuje.

— Nie wstyd ci, że matka taka umęczona? Przecież w 1970 ukończyłaś Zasadniczą Szkołę Budowlaną ze specjalnością zbrojarza. Wiem, to nietypowy zawód dla dziewczyny, ale przecież mogłabyś pomóc rodzinie.

— Właśnie! To wszystko przez matkę. Ona namówiła mnie na tę szkołę, abym jak najszybciej mogła podreperować rodzinny budżet. W szkole zetknęłam się z różnymi chłopakami, dużo dowiedziałam się o życiu. I zaczęłam żłopać wińsko na wagarach. Z początku to się gryzłam, chciałam nawet wyspowiadać się przed matką, ale ona nigdy nie miała czasu wysłuchać mnie. Wyuczony zawód nie odpowiadał mi, a prać ciuchy i gotować żarcie dla tych młodszych szczurów też mi się nie widziało.

— I dlatego zaraz po ukończeniu zawodówki puściłaś się w Polskę?

— Jasne! W tym miasteczku, co gnieździ się na południu województwa można zdechnąć z nudów. Najbliżej był Ślask. Zakotwiczyłam się na strzelnicy w „Wesołym Miasteczku". Ten właściciel ubrał mnie jak trzeba i podawałam ładunki, wiatrówki, kasę też trzymałam.

— Dlaczego stamtąd odeszłaś?

— Bo mi się spodobała jazda motorem na pionowej ścianie. Ale jeszcze bardziej, to mi się podobał ten facet, co jeździł po tej ścianie. Nie, nie zgwałcił mnie, sama, dobrowolnie się z nim przespałam. A jeszcze potem on mnie zaczął uczyć jeździć na motorze po ścianie. I nigdy przed publiką nie wystąpiłam. Dobrze, że tych prób nikt nigdy nie widział. Spadałam na łeb. On się bał, pogotowia nie wzywał, tylko raz prywaciarza doktora. Strasznie mnie łeb bolał. To on jeszcze w większym był strachu.

Forsę dawał, bym go nie wydała. Piłam za tę forsę, do samej jesieni. Potem wyjechałam...

— Powiedz szczerze — wyrzuciła cię katowicka milicja?

— Niech będzie!

— Całą zimę spędziłaś w miasteczku. Do roboty nie brałaś się.

— A po co? Byli tacy, co dawali żyć. Nie na próżno przehulałam sezon w Katowicach. Była wódka, skoki do Zakopanego.

— Milicja zatrzymywała cię za kradzieże.

— Byłam tylko wabiem, albo stałam na „lipku". Przygrywałam gościa, kumple go robili z zegarka i floty. Albo na zapleczu umawiałam randę z ekspedientem. Trzy pary buciaków wtedy poszło z lady...

— A więc sama nie kradłaś. Dlatego też nie trafiłaś do poprawczaka. No i mówisz, że choć nudnie, ale jakoś się żyło. Mimo to ruszyłaś dalej w Polskę.

— Ruszyłam. Bo przeżyłam wiele smutnych dni. Wciąż te same gęby, ta sama wódka gastronomiczna z gwiazdkami.. Ta sama wciąż knajpa, kawiarnia i kino. I takie same propozycje... Raz, proszę pana, siedziałam w naszej knajpie z dwoma kumplami. Wypiliśmy wódkę. A kiedy wyszliśmy na ulicę, była z nami druga dziewczyna, przywalił się do nas nagrany facet z jeszcze bardziej zbarowanym kumplem. Ten pierwszy niedawno wyszedł z kicia. Rąbnął koleżankę w dziób za to, że go na milicji wydała. Kolega, co z nami był, wstawił się za koleżanką. I zrobił się romot! Tamtych było dwóch, nasz jeden, więc zwiałyśmy z miejsca akcji. Po drodze spotkałyśmy innego kolegę z jabcokiem. I poszłyśmy do jego domu. A tamten, co się bił, wiał pobity za nami. A ci, co go grzali, biegli jego tropem. I znów była bójka. Ale ten kumpel pobity zdążył wśliznąć się na chatę. Nie zdążyliśmy jednak dopić jabcoka, kiedy tamci zaczęli dobijać się do drzwi. Nie otwieraliśmy. Wtedy jeden z tamtych wlazł na dach i rozbił szybę. Do mieszkania jednak wejść nie mógł, gdyż od dachu do okna było prawie dwa metry. To przyszedł do drzwi. Walił, chciał je wyłamać. Wtedy jeden z kumpli, którzy z nami pili jabcok, wnerwił się okropnie i dziabnął go nożem. No i siedzi teraz...

— Ale to nie był żaden z tych, z którym żyjesz w swoim miasteczku jak żona z mężem?

— Nie! Ten to ma 24 lata, jest poważny, zakochany we mnie.

— I z nim jesteś w ciąży?

— Nie jestem pewna, ale chyba tak.

— Kiedy wrócisz do miasteczka z tej wędrówki po Polsce, zrobi ci dintojrę!

— Pan jest śmieszny! On mnie kocha. Albo da na zabieg albo się ożeni.

— Wtedy nie pójdziesz do technikum.

— Pan jest jeszcze bardziej śmieszny! Dla tamtego nie ma innej dziewczyny. Jestem najfajniejsza w miasteczku. I znam ten nasz kraj, stolicę naszą. On na wszystko się zgodzi.

— To powiedz teraz, jak to było z warszawską wyprawą.

— Szkoda gadać... Przez to tutaj trafiłam. Ale za to przeżyłam najpiękniejsze dni w moim życiu...

— No więc?...

— Mnie się znudził ten facet, z którym sypiałam. Całe to miasteczko mi się znudziło. O godzinie 7-mej cała moja rodzinka wychodziła z domu. Zostawałam sama. Wstawałam o 11-tej, jadłam śniadanie i szłam się opalać. Wieczorem kino, telewizja, kawiarnia. A był maj, dużo słońca, inne, nowe życie. Przydusiła chandra. To wybrałam się z kumpelką, która była fryzjerką, do miasta Warszawy. Ona dostała pokój i robotę u jednego szefa w Wawrze, więc z nią zamieszkałam. Chciałam najpierw wynająć się za pomoc domową, ale potem zrezygnowałam. Łaziłam do zakładu, do parku, nieraz całe dni spałam. Wieczorami jeździłyśmy do Warszawy na kawę; byli kumple, ale wracałyśmy same. Ale potem spiknęłyśmy się z klientem koleżanki, to był inżynier — starszawy, miał opla-rekorda, aleśmy go robiły w konia w hotelu „Warszawa" i się bawiłyśmy z młodymi chłopakami. Piło się, jak trzeba, kumple prowadzili nas na chatę, ale się wymykałyśmy, bo za rogiem czyhał ten jeleniowaty inżynier. I z poręki tego inżyniera skakałyśmy po cyrku, „Złotej Kaczce", „Niedźwiedziu", „Bristolu". Dużo ludzi, dużo wódki, jakiej w moim miasteczku nie było. Szyk, życie światowe. I różne chłopaki, chaty różne, włoskie wino i płyty. Nieraz po tym rzygałam, a raz aż trzy dni byłam chora. Brzydło mi to wszystko, chociaż najpierw było niezwykle, wspaniale.

Kiedyśmy raz zwiały chłopakom z „Bristolu" przez toaletę, wpadłyśmy na radiowóz, a napite żeśmy były jak trzeba. No i przyhaczyła nas blacha, bo my bez zameldowania w tym Wawrze. Ale to wina szefa! Nie chciał nas meldować. Jedna taka dziewczyna cztery lata siedziała u niego bez meldunku, a nas zaraz na 48 godzin do ciupy!

Po tym areszcie szef fryzjerski wyrzucił kumpelkę z roboty i nie było mieszkania, więc zamieszkałyśmy u jednej starszej kobiety, która stówę od nas dostała za dobę. Koleżanka miała dostać pracę w zakładzie damskim, o mnie starał się inżynier do jakiejś fabryki, ale nic z tego nie wyszło.

I tak trafiłyśmy do „Liliany" i „Krokodyla", gdzie nas przydybały chłopaki, co się nazywają hippiesy. Takich w moim miasteczku nie było. Włos anielski, połatane gacie; krzyże mieli na koszulach, klipsy w uszach i drewniane miecze u boku. Ale byli mili i grzeczni. Coś dziwnego mieli w oczach. Szeptem do nas mówili, „Cinzano" stawiali, a potem zaproponowali piguły. Kumpelka nie chciała, ale ja wzięłam. Trzy razy po cztery „piątki" percopanu. Fajnie było przez trzy dni, chociaż wciąż rzygałam, auto inżynierowi zaświntuszyłam i potem nie chciał mnie odwozić do domu. Ale przez te dni wszystko było piękniejsze, większą chęć do życia miałam. Niczym się nie przejmowałam.

— Piszesz w swoim wypracowaniu, że miałaś trzy stówy, matka ci też stówę podrzuciła, lecz do domu nie wróciłaś. Jak to jest? Przez miesiąc nie pracowałaś, za mieszkanie przez tydzień płaciłaś po 50 złotych dziennie...

— To już powiem... Trzeba było się z niektórymi przespać, z inżynierem też. A do domu nie wróciłam dlatego, że za bardzo byłam po wypitce na jednej prywatce; wpadł milicjant, zatrzymali mnie...

— Piszesz też w wypracowaniu, że chciałabyś być drzewem, gdyż bardzo interesuje cię ostatnio przyroda. I dodajesz, że drzewa nie muszą się z nikim kłócić, nikt ich nie bije, nie krzywdzi. Nie potrzebują niczego się bać, gdyż nie mają wrogów. Potem piszesz, że przeżyłaś w życiu taki szczęśliwy dzień swobodnego drzewa. Ale ja w to nie wierzę! To nie są twoje słowa, nie mówili ci tego hippiesi. Ty jesteś bystra dziewczyna; inteligentna jesteś, lecz mnie nie wykołujesz!

— Pan jest cwańszy niż wychowawca albo milicjant. Nie, hippiesi mi tego nie mówili. Ale kazano napisać wypracowanie, a że przedtem oglądałam „Bonanzę" o takim chłopaku bez rodziców, więc napisałam... A ten piękny dzień...

— Właśnie...

— Dali mi wtedy aż sześć „piątek" percopanu, to już czwarty raz. Gadałam od rzeczy i wzięto mnie do Izby. Ale w Izbie powiedziano mi o tym moim gadaniu dopiero wtedy, gdy usiłowałam połknąć igłę, którą jedna dziewczyna przemyciła wetkniętą w odcisk pod stopą.

— Co mówiłaś po tej dużej dawce?

— Że chcę wrócić do mojego miasteczka. Że kocham mojego chłopaka, urodzę mu dziecko i będę się uczyć. I że będę prać, cerować ubrania moich dwóch braci i siostry. Krzyczałam też, aby zamazać czarną farbą wiszącą nad moją głową twarz matki. Za dużo w niej było jakiegoś dziwnego ciepła... Wołałam o zmartwychwstanie mojego ojca...

---

sila się obcość wzajemna ludzi i obcość człowieka wobec świata, rodzi się poczucie bezsiły i niemocy rozumu, osobowość ulega degradacji i dezintegracji zarówno w planie racjonalnym jak emocjonalnym.

Tu miejsce wreszcie, by określić bliżej rolę sztuki w życiu społecznym. Sztuka, w przekonaniu Lukacsa, w szczególności zaś literatura, pełni rolę szczególną w owym procesie dochodzenia człowieka do uświadomienia sobie jego prawdziwej istoty oraz sytuacji społecznej, w której się znajduje. W twórczości artystycznej twórca „dokonuje niemożliwego": demistyfikuje iluzje, demaskuje kłamstwo istniejącej rzeczywistości, odsłania oblicze prawdy i wskazuje drogę, po której idąc ludzkość może uratować zagrożone wartości. Sztuka „zarysowuje model człowieka o rzeczywistych, acz nie zaspokojonych potrzebach i aspiracjach. Ona jedynie kreuje «całość konkretną» nieosiągalną w innych dziedzinach poznania" 3). Wielki artysta realizuje swą misję (jest to warunek jego wielkości) jakby z podświadomego musu, nawet wbrew często swoim uświadomionym zamysłom 4).

Patrząc na literaturę nie tyle jako jej historyk, lecz jako filozof-moralista walczący o godność człowieka we współczesnej cywilizacji Lukacs stawiał jej niezwykle wysokie wymagania. Najwyżej cenił wielką powieść realistyczną typu balzacowsko-stendhalowsko-tołstojowskiego, gdzie losy i dramaty moralno-obyczajowe bohaterów ilustrowały jednocześnie stosunki społeczne i konflikty społeczeństwa kapitalistycznego. Nienawidził z pasją zaś literatury dworsko-dekadenckiej, zajmującej się apologią istniejącego ładu. Ten maksymalizm wymagań wobec literatury, jak też pewne uproszczenia i fałszywe diagnozy dotyczące kierunków przemian społeczeństwa europejskiego XIX i XX wieku doprowadziły Lukacsa do surowej i jednostronnej oceny wielu wybitnych zjawisk literatury współczesnej. Przyjaciel i wielbiciel dzieła Tomasza Manna — mógł jeszcze zaakceptować typ narracji i poetyki, którą prezentował autor **Czarodziejskiej góry;** Kafka natomiast, Joyce czy Beckett pozostali dlań nieodwołalnie reprezentantami dekadenckiej awangardy.

Innym motywem refleksji teoretycznej, niezmiernie ważnym dla zrozumienia sylwetki Lukacsa jako myśliciela, jest jego studium historii filozofii. Zarówno w dziejach literatury jak filozofii idzie Lukacsowi o obronę wartości humanistycznych, idzie o protest przeciwko ich degradacji w cywilizacji współczesnej. Stosunek do puścizny filozoficznej ujawnia jeszcze bardziej niż jego poglądy estetyczne ścisłe związki pisarza z humanistyczną tradycją klasycznej filozofii niemieckiej. Mimo, iż myśl jego formowała się — o czym mówiliśmy już — w kręgu idei, gdzie motywy irracjonalistyczne były niezwykle silne, Lukacs radykalnie przeciwstawiał się tym tendencjom. Walcząc z płaskim racjonalizmem pozytywizmu XIX-wiecznego szukał wsparcia dla swojej wiary w potęgę rozumu ludzkiego u Schillera, Goethego i Hegla, potem u Marksa. Patrząc na historię europejskiej, w szczególności zaś niemieckiej myśli filozoficznej, będzie dostrzegał postępujący proces destrukcji racjonalizmu, przechodzenie od humanistyczno-racjonalistycznej tradycji okresu klasycznego (Kant — Lessing — Fichte — Hegel — Feuerbach) do nasilającego się z biegiem czasu w kulturze filozoficznej Niemców irracjonalizmu, pesymizmu, antyhumanizmu. Przeciwko deformacjom w duchu irracjonalistycznym intelektualnej ewolucji Hegla skierowane jest wielkie studium **Der junge Hegel** (napisane w 1938 r.). W głośnym pamflecie na filozofię niemiecką drugiej połowy XIX i XX wieku zatytułowanym **Unicestwienie rozumu** (1945) stara się Lukacs pokazać, jak descendująca myśl niemiecka prowadzi stopniowo ku straszliwej granicy, po przekroczeniu której istnieje tylko brunatny mrok i zbrodnicze szaleństwo faszyzmu. Fenomen faszyzmu, który Lukacs przeżył w sposób równie dojmujący jak autor **Doktora Faustusa** jest źródłem surowych, możemy dziś powiedzieć, w wielu punktach przesadnych i niesprawiedliwych oskarżeń filozofii niemieckiej, poczynając od Schellinga i Schopenhauera. Szczególnie. Nietzsche ze swoim gwałtownym antyintelektualizmem i antyhumanizmem był znienawidzonym przezeń myślicielem. Autor **Woli mocy** był dla Lukacsa niewątpliwym prekursorem duchowym faszyzmu. Oto rozum zasnął, zbudziły się upiory. To co było wielkie i piękne w kulturze europejskiej od antyku przez Renesans i humanistyczną myśl kultury mieszczańskiej — ideał człowieka pełnego, harmonijnego, zespolonego we wspólnocie humanitas — zostało podeptane brutalnie przez ideologów i żołdaków współczesnej brunatnej Apokalipsy.

• ☆ •

Gyorgy Lukacs dożył sędziwego wieku. Było to życie bardzo pracowite i trzeba dodać — niełatwe. Niełatwo było być filozofem w epoce, która filozofowaniu nie była zbyt chętna, i pozostać wiernym sobie do końca, pozostać niezłomnym. Zmarł człowiek, o którym nie można powiedzieć — mimo jego wieku — że należał duchowo już do przeszłości. Nie można tego powiedzieć, zarówno dlatego, że jego puścizna intelektualna jest wciąż żywa i inspirująca, jak i dlatego, że był sprawny intelektualnie i twórczy do końca swoich dni. Powróciwszy po upadku faszyzmu do ojczyzny Lukacs odtąd dzielił jej losy. Ze swego położonego nad Dunajem budapeszteńskiego mieszkania pilnie obserwował przemiany współczesnego świata. Niejednokrotnie też podejmował próby oświetlenia jego pokrętnych zawiłości za pośrednictwem marksistowskiej metody dialektycznej, w której naukową owocność niezłomnie wierzył. Ostatnie lata zeszły mu na poważnej pracy badawczej. Podjął rozległe, na wielką skalę zakrojone, studia nad podstawami estetyki i etyki oraz ontologii w ujęciu marksistowskim. Dzieło to, którego tylko fragmenty ujrzały dotąd światło dzienne, nie zostało zakończone...

RYSZARD PANASIUK

Przypisy

1) Czyli nauk humanistycznych. Orientacja ta akcentowała swoistość i odrębność przedmiotu oraz metody nauk humanistycznych w stosunku do nauk przyrodniczych.

2) Praca ta ukazała się po polsku w 1968, jako jeden z nielicznych tekstów Lukacsa u nas tłumaczonych, nigdy jednak nie widziałem jej w księgarniach, również poszukiwania po znajomych nie dały rezultatu.

3) A. Brodzka: O kryteriach realizmu w badaniach literackich. PIW 1966. W pracy tej cały obszerny rozdział autorka poświęca Lukacsowi. Jest to dotychczas najlepsze i najpełniejsze u nas opracowanie dotyczące pogl. Lukacsa na literaturę.

4) G. Lukacs: Essays uber Realismus, Berlin 1948, s. 188.

WANDA KARCZEWSKA

Żegluga na jachcie „Zjawa"

Teraz, po dwóch dniach żeglugi, o ile żeglugą można nazwać dwudziestoczterogodzinne kiwanie się na martwej, rzygliwej fali na wysokości Helu, Henryk już wiedział z jaką to „największą przyjemnością" kapitan przyjął go na pokład. Właściwie mógł był się tego domyślić, zanim jeszcze wyruszyli z portu. Przebrał się w domu, wrócił na jacht ze swoim podróżnym, brezentowym workiem, stanął na śródokręciu „Zjawy" i niemal bezwiednie spojrzał w głąb statku przez szybę skajlajtu. Zrobił to mimowolnie, dlatego chyba, że bosman, klęcząc, stukał w szybkę i mówił niespokojnie: „Kapitanie, co panu? Zasłabł pan?". W kajucie — Kostrzewa, oparty czołem o ścianę nad umywalnią, czerpał wodę ręką i przykładał ją sobie do skroni. Henryk pochylił się i naraz odskoczył jak oparzony, w tej samej bowiem chwili kapitan wyprostował się i wrzasnął w górę: „Zwariowaliście?! Ja? Zasłabłem?! Myję się!" — Po chwili wypadł na pokład, spostrzegł Henryka sterczącego bezradnie ze swoim workiem i powiedział: „Aa, jest nasz pasażer. Proszę, proszę bardzo. Niech się pan Richter rozgości, jak u siebie w domu".

Henryk okłada teraz linę na drewnianym kołku; powtarza sobie: „na naglu"; bosman poducza go zawile terminologii żeglarskiej. Jacht idzie na ostrym półwietrze, równolegle do lądu, przerzynając się przez skośnie biegnące, skędzierzawione fale. W pewnej chwili Henryk rzuca za siebie:

— Panie Mikuła, co ci z galonami mogli powiedzieć wtedy kapitanowi, że mnie tak „serdecznie" przywitał?

Bosman otwiera usta niechętnie; mówić, nie mówić; wreszcie decyduje się:

— Czy ty, Richter, naprawdę z księżyca spadłeś?

Patrzy przez chwilę na Henryka, nabiera widocznie przeświadczenia, że chłopak istotnie „spadł z księżyca" i zaczyna półgłosem:

— Nasz klub po wiosennym remoncie robi bokami, na gwałt potrzebujemy zapasowych żagli, z gaci ich przecie nie wykroimy, a tu naraz spada z nieba pański tatuś — Henryk z miejsca chwyta jadowitość tego zdrobnienia „tatuś" — prezes Koła Przyjaciół naszego jacht-klubu i ofiarowuje klubowi niezły komplet żaglowego płótna. Pańskiego tatusia stać na taki prezent, to nie z jego kabzy idzie, ze Zjednoczenia Fabryk, gdzie tatuńcio jest grubą szychą. Zjednoczenie przyjęło nad nami patronat...

Henryk otwiera usta, jakby chciał powiedzieć: „Ach, to tak?" — Bosman ciągnie dalej, ściszając głos do szeptu:

— Takich kapitanów jak nasz Kostrzewa, co by poprowadzili to pudełko od sardynek do Anglii i z powrotem, znalazłoby się na wybrzeżu od bidy kilku, ale takich dobroczyńców jak pan dyrektor Richter... fiu, fiu, nie ma wielu. Ci z galonami mieli łatwy wybór: albo rybka, albo pipka...

Henryk nie odpowiada. Zapiera się gumiakami w dno kokpitu i przełyka słóweczko „szantaż", którego omal nie wypowiedział na głos. Bosman kończy szeptem:

— Nikt z załogi o tym nie wie, tylko ja jeden i teraz ty. Mówię ci, żebyś nareszcie pokapował na czym stoisz, bo mi wygląda na to, żeś wpadł jak śliwka w błoto i nie wiesz, czym ono śmierdzi.

Milczy chwilę, a potem:

— Mówiłeś coś?

— Ohyda, powiedziałem — odpala Henryk.

Zsuwa się do kokpitu, bo silniejszy poryw wiatru znowu znosi na niego całe płaty piany. Mimo chłodu skóra na policzkach go pali. Po chwili wzrusza ze złością ramionami:

— Ale o co zaraz taka chryja?! Żeby jeden człowiek mniej, czy jeden więcej mógł sobie popłynąć do Southampton i powąchać trochę morza?

A bosman na to:

— Zależy jaki człowiek...

— Co znaczy „jaki"? A jaki to ja jestem? Zezowaty?

Bosman kręci głową z niedowierzaniem i niecierpliwym już znudzeniem. Powiada:

— Ja to bym na miejscu Richtera próbował się wcisnąć na każdy inny jacht, tylko nie na ten, gdzie się jemu, Kostrzewie, udaje trochę popływać...

Henryk patrzy pytająco na bosmana i teraz zaczyna go złość ogarniać na dobre: złość człowieka stąpającego po obcym terenie, po omacku w ciemnościach, człowieka, który szuka drogi stopami, rękami, węchem i czuje, że coraz bardziej oddala się od właściwego kierunku. Więc bosman otwiera usta, jakby decydował się powiedzieć coś, czego nie miał zamiaru mówić, a do czego prowokuje go sina z zimna, a może z gniewu, twarz chłopaka wciśniętego w kąt kokpitu. Odzywa się półgębkiem:

— To ojciec nic ci nie mówił o Kostrzewie? O tej całej... aferze? Noo, jak nasz kapitan pływał we flocie handlowej z pańskim stryjem, Jakubem Richterem, ekskapitanem frachtowca „Pułtusk"? Musiało ci się to chyba obić o uszy?

Henryk potrząsa głową, mówi:

— Nic mi się nie obiło, ja od siedmiu lat jestem poza domem, to znaczy byłem, w internacie, skończyłem właśnie budę i... Więc co z tym stryjem Jakubem?

Chce nareszcie wiedzieć, dlaczego ten człowiek o szarej twarzy wymija go spojrzeniem, nie, nawet nie wymija, nie dostrzega go po prostu, jakby był powietrzem, albo czymś gorszym jeszcze, co mu cuchnie pod nosem, a co wbrew jego woli załadowano mu na statek. Ale bosman wkłada fajkę do ust i kończy:

— To ja też nie będę Richtera w nic wciągał. To nie moja rzecz.

Po chwili jednak dodaje:

— A to ładnie cię urządzili! Wpychać cię właśnie pod jego rozkazy!

Henryk czuje pod żebrami pęczniejącą kulę; rozpina kurtkę, robi mu się w niej ciasno i gorąco. Widzi znowu palce Kostrzewy zaciśnięte na szklance wody sodowej, słyszy jego słowa: „Więc pańskim zdaniem ja się specjalnie nadaję do wytrząsania flaków z pańskiego synalka?", potem dobiegą go echo słów ojca, stanowczych, twardych, zamykających dyskusję, mimo że Kostrzewa nie zdążył przecież jeszcze powiedzieć ani „tak", ani „nie", że w ogóle nie pytano go w końcu, czy przyjmie jeszcze jednego człowieka na pokład. Henryk ma teraz wrażenie, że grzęźnie w jakiejś mazi, odruchowo wyciąga do góry szyję, jakby się bał, że mu się ta breja dostanie do ust i wtedy spod pokładu wynurza się ten człowiek o szarej twarzy, Kostrzewa, i powiada do sternika:

— Barometr spada na pysk, wejdziemy tu na noc, Mikuła; przeczekamy sztorm; szkoda tej roztelepanej łajby. Może rano pogoda się wyklaruje.

— Lik puścił — mówi bosman — dobra, przy okazji się naprawi i coś mi się ta wanta nie podoba — wskazuje wzrokiem jedną ze stalowych lin, biegnących od dużego masztu do burty statku.

Kapitan obraca się za siebie i rzuca w głąb statku:

— No, panowie jachtsmeni, na stanowiska, przygotować się do zwrotu...

Panowie jachtsmeni wyłażą z ciepłego wnętrza jachtu na ostry wiatr i po chwili dziób statku zwraca się ku lądowi, kierując się między dwa wejściowe światła; właśnie zapalały. Jednocześnie ostre smugi zaczynają omiatać brzeg, morze i niebo. „Rozewie" — myśli Henryk i momentalnie wzrok jego szybuje ku najwyższemu punktowi wybrzeża, czerniejącemu teraz w zapadającym mroku, gdzie na stromej skarpie bieleje w rozbłyskach latarni, jak szkielet, piętrowy budynek z wieżyczką. Zna ten dom, dom stryja Jakuba i pięknej kuzynki Teresy; przypomina go sobie; wykonuje szybki półobrót głowy i chwyta wzrok Kostrzewy; spojrzenie jego umyka właśnie od tamtego domu; szczęki kapitana zaciskają się mocno, jakby ten człowiek chciał pokonać nagły przypływ wzruszenia czy gniewu; odwraca głowę i wzrok jego sczepia się ze wzrokiem Henryka. I teraz Henryk już się domyśla: „On przypuszcza, że ja wszystko o nim wiem i, mimo to... wpakowałem mu się na grandę... Co za breja, w co ja wlazłem...?" — Kula z waty podchodzi mu pod samo gardło.

Późno w noc leży na koi i przewraca się. Zza burt dochodzi tu skrzypienie pomostu, drewnianych pali, do których jest przycumowany statek, pisk odbijaczy trących się o molo i burty, bełkot fali. Naraz Henryk wstaje, odrzuca koc i opuszcza nogi. Słyszy ciche:

— Nie śpisz?

Odpowiada szeptem:

— Nie... duszno tu... i... Ja chyba zejdę...

Wylazi przednim lukiem na pokład, przeskakując na pomost; stoi w portkach i koszuli, odwrócony plecami do morza i wiatru. Latarnia omiata morze i niebo; znowu widać ten dom na szczycie skarpy; widać też — wynurzającą się z włazu głowę bosmana; po chwili Henryk słyszy jego słowa, wypowiadane tuż przy jego uchu:

— Chcesz iść do nich? Teraz? Po nocy?

— Do kogo, panie bosman?

— No, do stryjów... Mówiłem, że zejdziesz... W oknach ciemno, śpią pewnie...

— Nie to... ja chyba.. w ogóle zejdę ze „Zjawy"...

Słyszy szybkie, zdziwione i nieco kpiące:

— Co? Zlękłeś się tańcówki na morzu? Prędko, Rychlej, niż ojciec przypuszczał.

Henryk odwraca głowę gwałtownie, stara się przebić ciemność wzrokiem, ale dostrzega tylko zarys skołtunionej brody bosmana. Mówi porywczo:

— Żadnej tańcówki się nie zląkłem, ale... Do licha, czy pan nie widzi, że kapitan zaciska szczęki jak mnie zobaczy. A jak łykam jedzenie, a on wchodzi, to mi kluski w gardle stają.

— No to co? — powiada bosman — przecież wiedziałeś, że się pieścić z tobą nie będzie...

— Eee tam. Lepiej będzie i dla mnie, i dla niego, jak zejdę; co mam się...

Ale bosman nie daje mu skończyć:

— Dla ciebie to może i lepiej, ale dla niego...?

— Co dla niego?

Bosman trze szczeciniastą brodę.

— Widzisz, brachu... On już miał w życiu... zły przypadek... Przez jednego Richtera... Musiał wyjść z floty handlowej... nooo... wyrzucili go z marynarki... to było...

— Czy to coś ze stryjem Jakubem?... Stryj był kapitanem marynarki...

— Nnoo... tak... jakby... A teraz... jak ty zejdziesz ze „Zjawy", to ci panowie z galonami powiedzą, że on cię zabrał, bo musiał, ale skorzystał z pierwszej okazji i wysadził cię na ląd, i... gotowi mu odebrać jeszcze i to pływanie, na tych baliach... A on się teraz byle czego czepia. Człowiek w ogóle, jak głupi, byle czego się czepia, kiedy już przeszedł jego dobry czas i nie może robić tego, co lubił robić, co uważał za najważniejsze w swoim życiu. Ja też... pływałem; na regularnych liniach, potem na trampach; trzydzieści lat się pływało; w Indiach się było i w Japonii, i w ogóle... A potem w porcie robiłem; — nie chciałem, nie mogłem siedzieć na biczu i czekać na zmiłowanie, aż mnie ktoś starego przyjmie na statek. A teraz... zimą pilnuję taboru tym jachtsmenom, konserwuję te krypy, latem popływa się z nimi trochę; to nie to samo co dawniej, ot jakby dać psu kość polizać, ale zawsze coś...

Milknie. Henryk też nie odzywa się; obaj zdają się słuchać szumu morza, chlupotu fal rozbijających się o drewniane pale pomostu, skrzypienia masztu na „Zjawie". Naraz bosman, nie proszony, mówi coś, co się obcym tylko w ciemności powierza:

— Życie sobie można łatwo spaskudzić... ale odrobić to nie tak łatwo...

Potem jeszcze Henryk słyszy ciche:

— Gwiazda...

Rozbłysk latarni wydobywa z ciemności bosmanową twarz, podniesioną ku niebu; Henryk idzie wzrokiem za jego spojrzeniem i w szparze ciężkich chmur dostrzega mały świetlny punkt. Słyszy:

— Mleczna Droga... Przejaśni się...

A po chwili:

— Taak... Trzeba znaleźć swoją gwiazdę. Najmniejszą, ale swoją własną. I nie dać się niczym od niej odwieść. Ani o jotę.

Henryk myśli: „W domu ojciec, a teraz ten będzie mnie pouczał..." Ale zaraz potem przychodzi mu do głowy, że to nie o niego idzie; on jeszcze nie ma swojej gwiazdy, jego niebo jest jeszcze puste. To zapewne o tego człowieka chodzi, który leży teraz w kapitańskiej kajucie, wąskiej jak kiszka, i czyta; nie może zasnąć.

Rozbłysk latarni znowu ukazuje biały dom na skarpie. Henryk czuje, że nie da się dłużej krążyć koło czegoś, co zdaje się czekać na niego, wciągać go wbrew jego woli. Decyduje się nagle, nieco z lękliwą niechęcią, jakby zamierzał skoczyć w wodę, kryjącą na dnie zasadzkę; mówi:

— Pan znał wuja Jakuba?

— Nawet pływałem rok pod nim, właśnie w tym czasie, kiedy...

Henryk ucina, wydaje mu się, że znalazł punkt newralgiczny jakiejś czekającej na niego, ciemnej, nieznanej sprawy:

— To... Teresę też pewnie pan znał... Kuzynkę moją, jego córkę, pasierbicę, chciałem powiedzieć?

Wzdryga się, bo zaraz czuje na swoich ustach dotyk ciężkiej bosmanowej łapy, jednocześnie w świetle rozewskiej latarni dostrzega jakąś głowę, wynurzającą się z wnętrza „Zjawy" „Trafiłem — myśli — to o Teresę chodzi!"

Cofa się spod bosmanowej ręki, która stłumiła imię Teresy na jego ustach i pyta niecierpliwie:

— Długo tu postoimy?

Słyszy:

— Rano ci powiem. No, zjeżdżaj spać, nie stój w koszuli na wietrze, bo się zaziębisz; narobisz nam bigosu i nie będziemy nawet mogli flaków z ciebie wytrząsnąć.

Henryk biegnie pomostem, potem wślizguje się pod koc, koc pachnie zwierzęcą sierścią. Ogarnia go lekkie podniecenie; spostrzega, że drży i zapytuje sam siebie; dlaczego ja drżę, czego ja się tak boję?

(Fragment powieści dla młodzieży)

H. ARRAK — Kotwice na rybackiej przystani (linoryt)

OSIP MANDELSZTAM

★

★ ★

Szczupłe twoje ramiona na mrozie zapłoną,
Na mrozie zapłoną, pod batem spłyną czerwono.

Dłonie twoje dziecinne sagany będą dźwigały,
Sagany będą dźwigały i sznury wiązały.

Stopy twoje delikatne po szkle pójdą boso,
Po szkle pójdą boso, krwawą w piasku rosą.

A ja na intencję świeczką czarną się rozjarzę,
Świeczką czarną się rozjarzę, pomodlić się nie odważę.

1934, Woroneż

Przekład: Witold Dąbrowski

JAN KOPROWSKI

Uwaga: książka roku

Ukazały się wreszcie **„FANTOMY"** Marii Kuncewiczowej. Kiedy czytałem obszerne fragmenty w „Twórczości", a również i w „Odgłosach" (którym autorka użyczyła rozdział o Monachium), wydało mi się, że zapowiada się książka wybitna, kto wie, czy nie najlepsza książka roku. Teraz, po przeczytaniu całości, utwierdziłem się w tym przeświadczeniu. Tak, „Fantomy" mają wszelkie dane po temu, aby stać się bestsellerem. Jest to rzecz znacząca zarówno w dotychczasowym (jakże przecież obfitym) dorobku Marii Kuncewiczowej, jak i w naszej współczesnej literaturze polskiej.

Jak zrodził się pomysł napisania „Fantomów" i o co w nich chodzi odpowiada sama autorka na stronie 61 i następnej. Czytamy tam m. innymi: „punktem wyjścia jest przeżycie aktualne, które jak magnes przyciąga opiłki przeszłości. Wynika coś w rodzaju podwójnego autoportretu: twarz patrzy na widza, a w tle majaczy profil odwrócony w stronę ludzi i spraw minionych". I o parę wierszy dalej: „Chciałam zapanować nad literackim nałogiem komentarza — tymczasem po dawnemu analizuję i szukam drugiego dna. Niechże tak będzie. Nie pragnę być modna; pragnę być wierna, jeśli nie sztuce, nie historii, nie narodowi, nie społeczeństwu, to przynajmniej sobie takiej, jaką mnie te wszystkie potęgi stworzyły".

A więc jeszcze jedno poszukiwanie straconego czasu, powie czytelnik. O, nie. Nie jest to żal za utraconym rajem dzieciństwa i młodości. W „Fantomach" Kuncewiczowa nie ucieka w przeszłość od teraźniejszości. Mamy tu raczej próbę wyjaśnienia tego, co jest, za pomocą tego, co było (jeśli wyjaśnienie takie jest w ogóle możliwe). Świat dzisiejszy obchodzi pisarkę bardzo żywo, śledzi ona bacznie wydarzenia, którym pragnie sprostać jako pisarz-intelektualista. Johann Huizinga napisał gdzieś kiedyś, że teraźniejszość nie istnieje. Człowiek posiada jedynie przeszłość i przyszłość, bo z chwilą gdy zda sobie sprawę z tego co się właśnie dzieje, to co się dzieje już się stało i przynależy do dnia wczorajszego. „Fantomy" pełne są teraźniejszości i przeszłości zarazem. W „Fantomach" istnieje teraźniejszość i przeszłość, nie ma natomiast przyszłości jako obiektu myśli i marzenia. Teraźniejszość w „Fantomach" wciąż wspierana jest przeszłością, dawność wkracza nieustannie w życie dzisiejsze, raz by je potwierdzić, kiedy indziej, aby mu zaprzeczyć. Odbywa się jak gdyby stała współpraca czasów: minionego i obecnego.

Kuncewiczowa potrafi w paru słowach zamknąć wielkie podsumowanie. Kiedy w r. 1940 po upadku Francji, uda się wielu Polakom, w tej liczbie i autorce, zbiec do Anglii, napisze ona: „Za nami młodość, Europa i wiek XIX".

Czytałem przed wieloma laty niedużą książeczkę Gerharta Hauptmanna „Fantom", przełożoną na polski przez profesora szkoły realnej w Stanisławowie, a także poetę i nowelistę, dziś już całkowicie zapomnianego — Adama Stodora. Jakże uboga jest ta książeczka niemieckiego laureata nagrody Nobla w porównaniu z „Fantomami" Kuncewiczowej, które nie są ani powieścią, ani reportażem, ani esejem, ale czymś, co jednoczy w sobie różne formy wypowiedzi i wtapia je w całość bogatą myślowo i ciekawą literacko. Maria Kuncewiczowa wiele podróżowała i widziała wiele. Zna Europę i Amerykę. Włada kilkoma językami. Wrażliwa na przyrodę i uroki pejzażu miejskiego. Kocha swój Kazimierz nad Wisłą, w którym mieszka, i tęskni do świata, który nie zaspokaja jej oczekiwań. Przygotowywała się do kariery śpiewaczej, została pisarzem. Myślała, że spędzi życie na uboczu, los podarował jej życie czynne. Zna gorzki smak emigranckiej niedoli i niepokoje życia w kraju. To wszystko jest treścią „Fantomów". To wszystko i wiele innych rzeczy. Sprawy najbardziej osobiste, ba! intymne, splatają się ze sprawami ogólnymi, sprawy świata ze sprawami Polski. Jest w „Fantomach" coś, co wpisuje tę książkę w nurt literatury ojczystej: obsesyjne wprost uczulenie na to, co nazywamy losem polskim. Nie pierwsza i nie ostatnia to książka, która każe nam rozmyślać o tych sprawach. Inaczej, ale przecież o tym samym, pisał Tadeusz Breza w „Spiżowej bramie", zaś całkiem niedawno Bohdan Drozdowski w „Albionie od środka".

Są więc „Fantomy" bardzo polskie, uwikłane w tragiczne dzieje naszego kraju i narodu, a przy tym dostatecznie uniwersalne, aby ten „polski los" widzieć w tzw. kontekście europejskim i uczynić go zrozumiałym dla innych. Myślę, że „Fantomy" będą książką czytelną w każdym kraju. Póki jednak ukażą się w przekładach na inne języki — cieszmy się, że możemy je czytać po polsku, że możemy wzruszać się i rozmyślać nad sprawami dawnymi, które tylko z pozoru są dawne, i nad współczesnością, która niekiedy kryje w sobie tylko pozory współczesności.

Maria Kuncewiczowa: „Fantomy", Instytut Wydawniczy „Pax", Warszawa 1971, str. 254, cena: zł 32.—

Włodzimierz Menicel. Kompozycja II. Z cyklu: „Podobieństwo i kontrasty".

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

„WIECZOROWI" UCZNIOWIE

Autor książki „Profesor na drodze" *), Henryk Czarnecki, nie jest literackim debiutantem: z powodzeniem próbował swych sił jako dramaturg, jako satyryk, a kilka lat temu opublikował w „Wydawnictwie Łódzkim" zbiór miniopowiadań i „refleksji" pod nieco ekscentrycznym tytułem: „Śmierć krowy". „Profesor na drodze" nie mieści się w ramach żadnego z wymienionych wyżej gatunków literackich i stanowi pozycję dość trudną do ścisłego zaklasyfikowania. Po namyśle powiedziałbym, że jest to coś pośredniego między powieścią środowiskową a zbeletryzowanym studium pedagogicznym na temat działalności wieczorowego technikum samochodowego dla pracujących.

Szkoła ta, jak wszystkie szkoły podobne, posiada dużo cech charakterystycznych i wyróżniających. A więc przede wszystkim zaznaczony już w nazwie szkoły fakt, że jej uczniowie pracują już zawodowo, niekiedy nawet na dość eksponowanych stanowiskach. Wiek tych elewów jest bardzo rozmaity: od młodych ludzi, którzy zaledwie przed kilku laty ukończyli szkołę podstawową, aż do mężczyzn „pod pięćdziesiątkę", którzy słusznie pragną podwyższyć stopień swego wykształcenia, a przez to samo polepszyć swoje szanse życiowe. I właśnie ze względu na „dorosły" wiek uczniów technikum wieczorowego, są to przeważnie ludzie żonaci, dzietni, a tam, gdzie jest rodzina, nie brak nigdy kłopotów, komplikacji, kryzysów, które regularnej nauce nie sprzyjają. Słusznie więc stwierdza autor, że „nauka w szkole dla pracujących wymaga wielu wyrzeczeń", a ponieważ — nawet przy najlepszych chęciach nie wszyscy potrafią się zdobyć na niezbędne wyrzeczenia i wysiłki, wielu „odpada" podczas pięciu lat trwającej drogi do maturalnego finału. Najrozmaitsze trudności i przeszkody na tej właśnie drodze zobrazował Czarnecki w swej książce z bardzo dobrą znajomością problemu.

A z nie mniejszą kompetencją zademonstrował też niełatwą i odpowiedzialną rolę i obowiązki personelu pedagogicznego w technikum dla pracujących. Jak wiadomo, już w starożytności twierdzono, że nauczanie cudzych dzieci nie należy do rozkoszy życiowych i należy tę funkcję traktować jako karę, aplikowaną przez bogów śmiertelnikom za ich grzechy i przewinienia. Tyle o cudzych dzieciach, a co powiedzieć o nauczaniu cudzych ojców? Trzeba im przede wszystkim wpoić przekonanie, że „nie jest wstyd czegoś nie wiedzieć, ale wstyd, gdy się nic nie robi, by tę niewiedzę usunąć". Trzeba jednocześnie, uwzględniając, że „wieczorowi" uczniowie pochodzą z różnych kręgów społecznych, uczyć ich podstawowych norm „kultury na co dzień" i zadbać choć trochę o „wychowanie estetyczne", np. poprzez wspólne oglądanie widowisk teatralnych, nie wśród wszystkich poddanych temu zabiegowi budzące zresztą entuzjazm. Słowem — obowiązki dydaktyczne i pedagogiczne są rozległe i różnorodne, więc podołać im nie przychodzi łatwo.

O tym wszystkim pisze Czarnecki żywo i ekspresyjnie, często — gęsto z humorem i miłym przymrużeniem oka. Niektóre fragmenty książki (np. rozdział pt. „Rodzinka") stanowią jakby autonomiczne, zabawne małe opowiadania. Albo przytoczę tu jeszcze taką scenkę:

Lekcja matematyki w klasie pierwszej — przedmiot: dodawanie ułamków. Profesor pyta ucznia: „Jedna czwarta plus jedna czwarta, ile to będzie razem?" — Uczeń bezradnie milczy. Profesor, chcąc ułatwić odpowiedź, stawia pytanie „poglądowo": rysuje na tablicy kwadrat, dzieli go na cztery równe części i wskazując kolejno dwie z nich, pyta: „Tu ma pan jedną ćwiartkę, a obok drugą ćwiartkę, ile to będzie razem?" — „Pół litra, panie profesorze" — pada tym razem stanowcza odpowiedź... No, cóż? Odpowiedź w pewnym sensie prawidłowa, bo przecież z codziennych doświadczeń każdy wie, że dwie ćwiartki dają w sumie pół litra.

Z satysfakcją i uznaniem muszę podkreślić, że autor „Profesora na drodze" żywi dla „wieczorowych" uczniów wiele wyrozumienia, życzliwości i ciepłych ludzkich uczuć. Zna doskonale ich szkolne grzeszki, fortele i uniki, ale traktuje ich bez lekceważenia i profesorskiego, wyniosłego dystansu. A jeśli czasem zdobędzie się nawet na odrobinę ironii, to jest to ironia dobrotliwa, pozbawiona zgryźliwości. Bardzo mi się podoba ta pedagogika humanistyczna.

*) „Wydawnictwo Łódzkie", str. 160, cena zł 10.—

Polemika o majora Hubala

Przeszłość i teraźniejszość

I tak bym pewnie wrócił do sprawy majora Hubala, więc zaczepienie mego felietonu (Odgłosy, Nr 22) przez p. Kazimierza Koźniewskiego w „Polityce" (Nr 30) stanowi dogodną po temu okazję. Nie będę się też spierał o przypisanie mi rzeczywiście dość „oryginalnej alternatywy", o której powiada p. K.: odczytywanie słów nie jest bowiem procesem dokonującym się bez udziału, w tym wypadku aktywnego tego, który je czyta.

Pragnę jednak — wciąż w związku z pracą M. Dereckiego „Tropem majora Hubala" (Wyd Lubelskie 1971) i wypowiedzią p. K. — powrócić do sprawy historycznej legendy i historycznej prawdy.

Ma p. K. rację, że zżymam się trochę na książeczkę Dereckiego. Czynię to zupełnie świadomie i to z tego powodu, że autor zabrał się do weryfikacji miłej sercu wielu Polaków legendy. Można wprawdzie i to komuś wmawiać, ale jest chyba oczywiste, że weryfikacja legend, nawet tych najpiękniejszych, należy do podstawowych obowiązków każdego, komu bliskie są sprawy historii. Chodzi jednak o to, jak się to robi. Legenda jest bowiem nie tylko godnym badania faktem świadomości społecznej, ale jest sama zjawiskiem niezmiernie złożonym, często kompleksem konkurujących ze sobą stereotypów legendowych. Trzeba sobie z tego wszystkiego — i wielu innych spraw — zdawać sprawę, gdy się przystępuje do krytycznej weryfikacji jakiejkolwiek konkretnej legendy. Czy uczynił tak Derecki?

Legendzie Hubalowej, tej rodem — by nie sięgać dalej — od Wańkowiczowych „Hubalczyków", towarzyszy antylegenda, wywodząca się od wypowiedzi Matuszewskiego. Derecki zadał sobie wiele trudu, aby krok po kroku, z maksymalną i godną prawdziwego uznania rzetelnością, zweryfikować wszystkie elementy pierwszej. Godzę się z K. Koźniewskim, że uczynił to jak najuczciwiej i nie pragnął też zdezawuować pamięci majora Hubala. Ale — i tutaj znajduje się źródło mojego zżymania się i niezgody z p. Koźniewskim — Derecki nie zadał sobie tego samego trudu aby... zweryfikować antylegendę. Podejrzewam, że nie uświadomił sobie takiej potrzeby, tak jak nie dostrzegło jej wielu z tych, którzy omawiali jego książkę, z p. Koźniewskim włącznie. Tu właśnie znajduje się w mym przekonaniu powód, dla którego w pracy Dereckiego znalazły się obok twierdzeń i domysłów skontrolowanych najskrupulatniej także inne, podane bez próby źródłowego uzasadnienia. Skąd p. Derecki wie, jakie myśli nurtowały Dobrzańskiego w chwili wybuchu wojny? Nie wiadomo. Jaka jest podstawa rozważań autora o refleksjach majora w leśniczówce pod Bodzentynem? Nie wiadomo. Skąd czerpie on wieści o jego „teoretycznej ekwilibrystyce"? Nie wiadomo. Skąd Derecki wie, że „powojenna przyszłość rysuje się Hubalowi mgliście, żyje on teraźniejszością. Kiedy spełni swój obowiązek względem ojczyzny, wyjedzie być może do Nicei popatrzeć na zawody hippiczne, lub zbierze garstkę najbliższych mu żołnierzy i pójdzie z nimi do Afryki polować na lwy. I pójdą wszyscy „na baby" — od kobiet nigdy Hubal nie stronił... Nie myśli już nawet o awansach (...)" i tak dalej? Nie chcę tu mnożyć cytatów, chociaż nie byłoby to wcale trudne. W pracy historycznej, w której weryfikuje się najdrobniejsze szczegóły losów bohatera, te i inne jeszcze zdania są pozbawione jakiejkolwiek weryfikacji. I to rzuca jakiś cień na książkę wielkiego wysiłku i dobrej woli, jaką jest rzecz Dereckiego. A ponieważ te nie zweryfikowane domysły i sądy składają się w pewną całość, ta zaś w niektórych punktach — być może wbrew woli autora — przystaje do wspomnianej antylegendy, felietonista ma prawo zauważyć, że demitologizacja podjęta przez Dereckiego ma charakter niepełny. Kto inny — jak p. Koźniewski — może zaś sądzić inaczej.

Nie zaszkodzi to ani p. Dereckiemu, ani problemowi majora Hubala. Historyk zatrzyma się także nad refleksją pisarza — Kazimierza Koźniewskiego — o długowieczności pięknych zwłaszcza mitów. Ale czasem ich istnienie, wbrew historycznej prawdzie, jakby paradoksalnie, do niej właśnie nas przybliża, nie tylko zaś oddala. Bo gdyby nie mit, byłażby powstała książeczka Dereckiego? Legenda rodzi wciąż... historię, dorzuca coraz nowe źdźbła prawdy i mitu, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok. Przecież nawet w owianym legendą felietonie Bohdana Tomaszewskiego „Der tolle Major" (Kultura, nr 18 z 2 maja b.r.) znalazły się jakieś nowe okruchy nie tylko mitu, ale i... prawdy o majorze Hubalu.

JÓZEF GRZELAK

ANDRZEJ GRUN

Wędruje przez mrok przyświecając lampą...

Akwaforta, dziecię Jakuba Callot'a, który z Francji do Włoch uciekł aby tam, na metalu rysując, bogactwo i sławę zdobyć, słusznie zwana jest królową grafiki. Składając w ręce artysty całe swoje ogromne bogactwo technicznych możliwości i sposobów akwaforta wymaga jednocześnie niebywałej dyscypliny, precyzji i jasności. Jest techniką starą, w pierwszych latach XIV wieku powstałą, pośród sług której znajdziemy mistrzów rembrandtowskiej miary. Ascetyczna, mimo różnorodności środków wyrazowych, szlachetna szlachetnością, która zobowiązuje, akwaforta jak lakmus ujawnia wszelkie błędy rysunku, wady kompozycji, nieporadności, rutyny i fałsze. Na płycie metalowej (pierwsze akwaforty trawiono na płytach żelaznych, potem dopiero zaczęto stosować blachę cynkową) swobodny ślad dłoni artysty poddany zostaje próbie ognia — kwas wypala odkryty spod warstwy wosku końcem igły wizerunek świata. Już w samym alchemicznym sposobie preparacji dzieła kryje się symbol...

LESZEK RÓZGA wybrał technikę akwaforty jako tworzywo swej sztuki nie przez przypadek. Rodzaj jego wyobraźni bogatej, spiętrzonej, niespokojnej, na metalowej płycie znalazł odpowiednią dla siebie scenę dla odgrywania swych teatrów. Techniczne możliwości sceny są w idealnej zgodzie z możliwościami i ambicjami aktorów i reżysera. Dzieje się teatr Rózgi za sprawą wyobraźni i ognia. Alchemia słowa i znaku. Rózga zachował renesansowe formy narracji wzbogacając je o nowoczesność tam tylko, gdzie nowe treści i doświadczenia autora i widza wymagały zmian w konstrukcji.

Rózga nie jest naturalistą ani kompozytorem plastycznych efektów. Zwraca się wyraźnie w kierunku alegorii, moralistyki, wizjonerstwa, biorąc na swoje barki wszystkie konsekwencje wyboru takiej drogi. Jest ich niemało. Dlatego potrzebna jest pewność, że ma się istotnie coś ważnego i własnego do powiedzenia innym, aby pokonać wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Potrzebny jest samokrytycyzm, aby nie popaść w tony smętnego opowiadactwa, w żonglerkę nic nie znaczącymi symbolami. Rózga posiada owa wiarę w sens własnych doświadczeń i przemyśleń, w ich humanistyczną wartość i uniwersalność i dostatecznie dużo samokrytycyzmu spełniającego zbawienną rolę klapy bezpieczeństwa.

Rózga rozpoczął od przedmiotów otaczających człowieka od natury wtórnej, którą człowiek stworzył i wśród której żył, z którą się utożsamił, zrastał, w którą wtapiał się jako element składowy, równoznaczny. Na płycie kwas wyżerał pejzaże pustych miasteczek, przedmieścia, podwórka brukowane kocimi łbami, perspektywy uliczek smutnych i brudnych prowadzące do nikąd, architekturę ruder koszmarną, ludzi jak manekiny, zużyte ludzkie wraki, wpisane w świat, lecz światu temu niepotrzebne. Potem miasteczka uczłowieczone gdzie przedmiot stawał się ludzki, a człowiek martwiał, kamieniał, obrastał w nędzę i rozpacz. Z czasem zostaje człowiek i Ziemia, pochłaniająca wszystko. Ziemia—matka. Ziemia—przystań. Ziemia—grób. Otwierają się kurtyny na pejzaże ludzkiego wnętrza, na niepokoje i trwogi, znów pełne rekwizytów. Ale teraz są to nie elementy scenografii, a symbole—znaki, drogowskazy dla oczu i myśli. Ogień przepalił wszystkie tkanki i zasłony. Na scenie pojawia się naga, bezradna postać dziewczyny z lusterkiem, wykrzywiona twarz osaczonego i trzech mędrców skupionych w sobie jak góra, obrosłych czasem — a u ich stóp, na boisku życia toczy się gra o dziwnych, tajemnych, nie zbadanych regułach.

W teatrze Rózgi panuje cisza nabrzmiała krzykiem człowieka, któremu zakneblowano usta. Tak w komorze dźwiękochłonnej słychać bicie serca wystrzałem armatnim.

Rózga zdaje sobie sprawę, że człowiek nie jest w stanie przekroczyć własnej kondycji, mimo że od wieków do tego dąży. Że on sam nie może oderwać się od metalowej płyty, że wszystko co najważniejsze rozgrywa się w obszarach niewymiernych — w samym człowieku. Na płaszczyźnie pojęć moralnych, w zaklętych rewirach sumienia. Aby być bardziej zrozumiałym odwołuje się więc do symbolu i znaku. Niektóre jego akwaforty sygnowane są kabalistyczną kombinacją liczby 414 — dwa trójzęby i harpun. Kabalistyczna kombinacja? Fatum ciążące nad człowiekiem. Obozowym numerem Rózgi był numer 414. Brunatni mieli zwyczaj wypalać numery na skórze swych ofiar. Ile takich numerów można jeszcze odczytać na ramionach mężczyzn i kobiet, na skórze Ziemi?

Na płycie metalowej kwas wyżera wizerunek świata kreślony dłonią artysty. Ludzie umierają, wraz z nimi rozsypują się ponure piętna. Blizny ziemi porasta dziś młody las. Tylko pamięć podsuwa sceny. Pamięć, to wszystko co człowiek żyjący może dać tym co odeszli i tym co przyjdą. Lecz w wypalonym na płycie obrazie świata daremnie szukalibyście śladów pesymizmu, okrucieństwa, nienawiści. Jest tam jedno tylko słowo wypalone głębiej niż inne — **memento.**

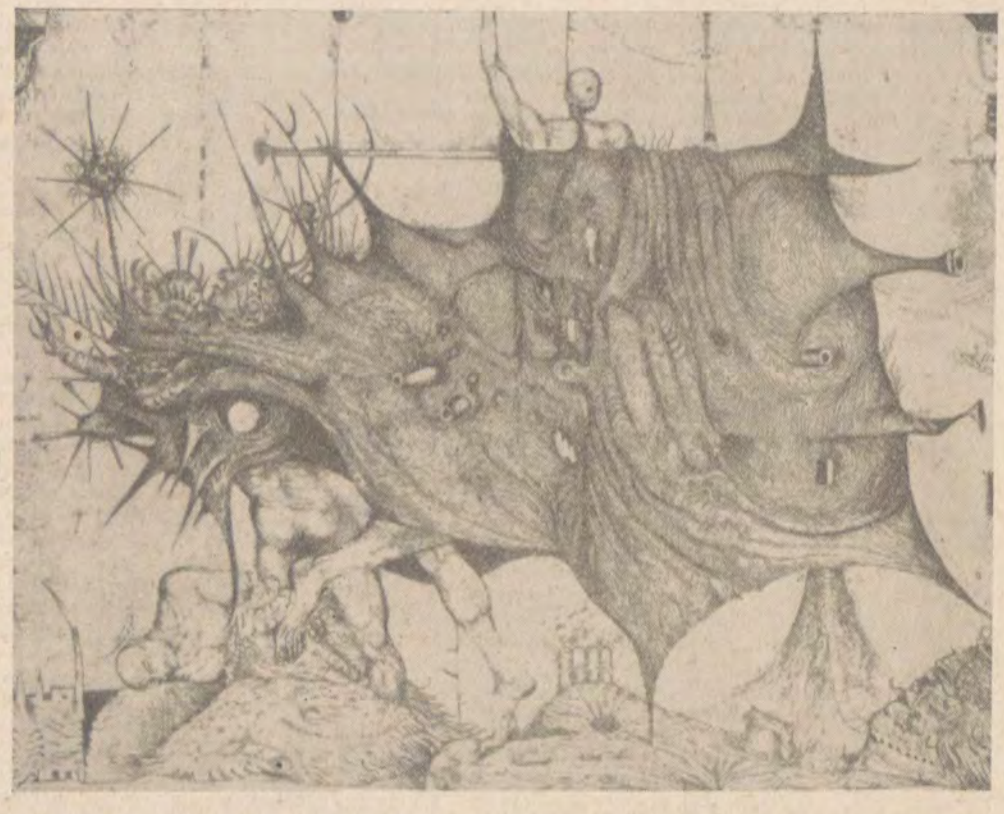

LESZEK RÓZGA. Akwaforta.

Za twórczość w dziedzinie grafiki Leszek Rózga otrzymał nagrodę Ministra Kultury i Sztuki III stopnia.

ANTONI SZRAM

CZY PODDANIE ANDRZEJA OSĘKI?

„Czy istnieje historia sztuki XX wieku?" Odpowiedź Mieczysława Porębskiego jest prosta: *(...) nie ma wciąż jeszcze prawdziwej historii sztuki XX wieku. Utknęła ona na etapie ożywczej, ale coraz bardziej bezradnej faktografii i nie może ruszyć z miejsca. Nie może zaś ruszyć z miejsca, bo nie ma ani jednego fachowego czasopisma, które by ją uprawiało i odnotowało, nie ma instytucji, czy wydawnictwa, które by jej służyło — ani u nas, ani nigdzie".*

Przeciętnie zdolny krytyk wyposażony w klucz francuski „larusa" i „żabkę" da sobie radę z systematyką faktów plastycznych minionego piętnastolecia. Posłużę się tu dość wymownym przykładem: felietonami Andrzeja Osęki *), książki podzielonej na szereg niewielkich podrozdziałków i komentarzy do kunsztownie napisanych artykułów lub recenzji, dotyczących aktualnych wydarzeń w polskiej plastyce. Teksty publikowane głównie w „Przeglądzie Kulturalnym" i „Kulturze", stanowią próbę aktualnego rozpatrzenia się w problemach dnia codziennego — charakterystyki malarzy, rzeźbiarzy i grafików — prowizorycznego omówienia najważniejszych wystaw otwartych na przestrzeni lat 1955—70.

Autor nie prezentuje kroniki życia plastycznego uczestników Arsenału, zatrzymuje się jedynie nad pewnymi, wybranymi wystawami dorocznymi, fragmentami biografii wystawców — przypomina nam rozmaite wydarzenia towarzyszące wystąpieniom ludzi palety, przygody, prostego człowieka w rekwizytorni przedmiotów, czasu. Czytając owe felietony — teraz zebrane w książkę — trudno oprzeć się refleksji: jakże nieoczekiwanie ułożyła się droga autorów Arsenału, krytyków plastycznych zmieniających swoje poglądy i czytelników, organizatorów galerii i galerii organizujących życie artystyczne w Polsce Ludowej.

Osęka może marzył, żeby zostać malarzem — odwrotnie niż Stajuda, którego werdykty krytyczne na łamach „Współczesności" wywoływały dyskusje, lecz jemu przeszkodziło to malarstwo. Osęka może być i stronniczym i obiektywnym. Produkcyjne felietony „Sytuacje" są prawdziwym bestsellerem sezonu. Gdyby swoje marzenia plastyczne urzeczywistnił, gdyby osiągnął to co zamierzał: wystawy indywidualne własnego pomysłu — być może zwróciłby się w innym kierunku.

Jego krytyki jak się rzekło dotyczą różnych wystaw i artystów. Przyznam się jednak, że osobiście zafrapowała mnie szczególnie jedna rzecz: źródła inspiracji do pisania komentarzy. Skąd się wzięło owo zainteresowanie awangardowymi artystami? Śledząc pod tym kątem tekst, można w jakiejś mierze znaleźć na to odpowiedź. Osęka ma własne zdanie o otwartych na przestrzeni lat w stolicy wystawach. Wspomina wielokrotnie o swoich kontaktach z francuskimi krytykami sztuki AICA; zadzierzgnęły się one w latach podróży artystycznych. Rzecz jasna, że znajdujemy tylko jedną warstwę owych krytyk; znajdziemy niemal pamiętnikarską relację z wielu warszawskich ekspozycji, donosy z wielu warszawskich happeningów, informacje o pracy na niwie odnowy recenzji plastycznej „foksalowców", z podróży, z wieczorów autorskich bez wyobraźni, ze spotkań z wybitnymi artystami.

Oczywiście obrazków rodzajowych z różnych wernisaży jest stosunkowo dużo, główne miejsce w owych felietonach zajmują ci, co stale wystawiali w Warszawie. Jakże by zresztą mogło być inaczej. Pisanie o tym, co działo się poza stolicą, nie było celem krytyka warszawskiego.

Jednakże zarysowana tu wizja nowej sztuki, mimo całego jej naukowego optymizmu, może wywołać przerażenie w niejednym plastyku ościennego okręgu. Zważmy bowiem na niezamierzoną sprzeczność, jaką zawarł Osęka w swoim rozumowaniu; te zebrane do kupy felietony stanowią kronikę plastyczną Stolicy, są barwnym odbiciem stołecznych gustów, rejestrują na gorąco fakty, ludzi, zjawiska wychwycone z wystaw ZPAP, dnia powszedniego Warszawy.

Książka Osęki wzbudzi zrozumiałe zainteresowanie u prawie 9-tysięcznej rzeszy twórców zrzeszonych w ZPAP. Przede wszystkim dlatego, że znaleźć będą mogli materiał do konfrontacji z własnymi decyzjami. Ciekawość ta ma jak się wydaje jeszcze jeden powód: tego rodzaju forma fachowego wyjaśnienia zjawisk nowoczesnej plastyki, była u nas do niedawna niepraktykowana. Dopiero w ostatnich latach określenie „krytyk plastyczny" weszło do naszego słownika. Nie oznacza to wszakże, iż związane z nim czynności i obowiązki, czy przywileje potrafimy już określić w sposób jednoznaczny. Nie określił się również Osęka.

Trudno się temu dziwić zważywszy nasze ogólne nieprzygotowanie do korzystania z tej formy kształtowania opinii o plastykach, o członkach Związku Polskich Artystów Plastyków. Jednak zależeć powinno nam na tym, by wątpliwości czy nieporozumienia co do roli krytyka plastycznego jak najszybciej zostały wyjaśnione. Gra toczy się o wysoką stawkę. Jest nią upowszechnienie plastyki.

* Andrzej Osęka „Poddanie Arsenału, o plastyce polskiej 1955—1970", Warszawa, Arkady 1971.

Wakacyjny konkurs „Odgłosów"

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrówek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów". Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne człony konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych
II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych
III nagroda — 500 zł w bonach towarowych

oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: **Łódź, „Odgłosy", ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny".**

ZADANIE KONKURSOWE NR 7

Tak wyglądały około roku 1860 ruiny zamku zbudowanego jeszcze przez Kazimierza Wielkiego. Dziś mieści się tu Muzeum, którego zbiory i prace związane są jak najściślej z regionem. A region to niezwykle ciekawy nie tylko ze względu na popularne legendy o słynnym diable, nie tylko ze względu na jedyną na Ziemi Łódzkiej kopalnię rudy...

Ciekawe i przebogate są dzieje tego miasta leżącego w bagnistej dolinie Bzury na przecinających się historycznych szlakach komunikacyjnych, z których jeden biegł z Małopolski na Kujawy i Pomorze, drugi z południowej Wielkopolski na południowe Mazowsze. Topografia dość ścisła, więc... Jakie to miasto?

BOGDA MADEJ

ODZNAKA Z ŁÓDKĄ W HERBIE

Gdyby stanąć w najbardziej ruchliwym punkcie ulicy Piotrkowskiej i zacząć liczyć przechodniów, to statystycznie co 125 mijający nas łodzianin powinien nosić w klapie Odznakę Honorową m. Łodzi. Ponieważ od naszych obliczeń należy odjąć dzieci i młodzież szkolną, statystycznie „honorowego łodzianina" trzeba by upatrywać mniej więcej już w co 70 przechodniu.

Zgodnie z uchwałą Rady Narodowej m. Łodzi z 16 listopada 1959 roku Odznakę Honorową m. Łodzi „przyznaje się za działalność zasługującą na szczególne uznanie, za zasługi w dziele rozwoju miasta Łodzi, poprawy warunków bytowych ludności, osiągnięcia w pracy społecznej oraz wydatne zwiększanie wkładu naszego miasta do ogólnonarodowego dorobku gospodarczego, społecznego i kulturalnego".

Z notatek prasowych łodzianie dowiadują się wprawdzie, kto ostatnio otrzymał Odznakę, ale i najczęściej na tym kończy się informacja. Dlaczego? Odznakę przyznaje się często. Okazją jest każdy Dzień — Kobiet, Transportowca, Nauczyciela, Łącznościowca, Spółdzielcy itd., itd. Listy odznaczonych osób bywają często dość obfite, nie bardzo jest więc miejsce, aby jeszcze poinformować społeczeństwo za co konkretnie przyznano odznaki honorowe. Poza tym podejrzewam, że jeśliby zestawić cytowany powyżej fragment uchwały Rady Narodowej m. Łodzi, z uzasadnieniami niektórych wniosków o przyznanie Odznaki, to powstałyby różne wątpliwości. Na przykład można byłoby się zastanowić, czy na „szczególne uznanie" zasługuje społeczny konsultant od rekreacyjnej gimnastyki w jednym z łódzkich zakładów. Podobnie nie wiem, czy na takie uznanie zasługuje nauczyciel, który wzorowo opiekuje się kołem ZMS w swojej szkole, wzorowy przewodniczący komitetu domowego lub wzorowy kierowca MPK.

Lektura uzasadnień niektórych wniosków o przyznanie Odznaki pozwala stwierdzić, że powstał już pewien nie najlepszy schemat. Wygląda on mniej więcej tak: „Ob. A. Z. pracuje w Łódzkich Zakładach od 26 lat na różnych stanowiskach kierowniczych. Aktywny członek partii od 25 lat. Jest czynnym wykonawcą czynów społecznych, bierze aktywny udział w pracach wyborczych od kilku lat na terenie m. Łodzi. Pracownik bardzo dobry, zdyscyplinowany, posiadający autorytet wśród załogi".

Schemat jest niedobry, ponieważ zawiera szereg wieloznacznych sformułowań. Co bowiem kryje się pod sloganowym stwierdzeniem „czynny wykonawca czynów społecznych"? Nie bardzo też wiadomo na czym polega „aktywny udział w pracach wyborczych". Więcej jeszcze. Nie przekonuje fakt, że ob. A. Z. ma otrzymać Odznakę również dlatego, iż jest „bardzo dobrym i zdyscyplinowanym pracownikiem". Wydaje się, że jest to podstawowy obowiązek, którego powinniśmy wymagać od każdego pracującego obywatela. Natomiast pod takimi sformułowaniami, jakie zaprezentowano powyżej może kryć się albo bardzo dużo, albo zupełnie nic.

Wątpliwości rodzą nie tylko schematyczne uzasadnienia wniosków, ale także sposób dobierania kandydatów do Odznaki. Wspomniana na wstępie uchwała Rady Narodowej nie precyzuje, kto ma typować kandydatów do Odznaki Honorowej m. Łodzi. Typują więc wszyscy: organizacje polityczne i społeczne, dzielnicowe rady narodowe, związki zawodowe, stowarzyszenia, instytucje. I nie byłoby w tym niebezpieczeństwa, gdyby przy typowaniu kandydatów kierowano się właściwymi kryteriami. Tymczasem jakże często za najbardziej zasłużonych dla Łodzi uważa się osoby zajmujące w instytucjach kierownicze stanowiska. Dla przykładu Łódzkie Zakłady Wyrobów Papierowych uznały, że odznaki powinni otrzymać: kierownik wydziału, starszy ekonomista i kierownik wydziału kontroli. „Polmatex" przedstawił do odznaczenia trzech starszych inspektorów, pięciu inspektorów, zastępcę dyrektora, głównego konstruktora, ekonomistę, trzech naczelników wydziału i jednego portiera „na okrasę". Łódzki Związek Spółdzielczości Pracy z okazji Dnia Spółdzielcy wystąpił z ośmioma wnioskami, wśród których siedem dotyczyło prezesów i kierowników. Dopiero Prezydium RN m. Łodzi zwróciło uwagę na niewłaściwy skład kandydatów i Związek Spółdzielczości na dwa dni przed terminem gwałtownie szukał nowych. Czy w tym pośpiechu nie postąpiono zbyt formalnie? Jeśli pierwsza lista była niewłaściwie dobrana, jaką mamy gwarancję, że druga była właściwsza. Wszak zmieniono ją tylko po to, żeby ilość odznak nie uległa zmianie. Podejrzewam, a upoważniają mnie do tego liczne przykłady, że niektóre instytucje, organizacje i związki wysuwając kandydatów tendować do Odznaki im. Janka Krasickiego niż do Odznaki Honorowej m. Łodzi. Pracownik, który po długoletniej pracy odchodzi na emeryturę, powinien być na pewno uhonorowany. Ale czy koniecznie w ten sposób? W końcu każdy, kto pracuje wzorowo — a takich w Łodzi jest przecież większość — służy swojemu miastu. Czy wobec tego wszyscy mamy nosić Odznaki Honorowe m. Łodzi?

Już w chwili podejmowania uchwały Rada Narodowa m. Łodzi liczyła się z możliwością dewaluacji ustanawianej Odznaki. W uzasadnieniu celowości ustanowienia Odznaki Honorowej stwierdzono: „Projekt uchwały RN m. Łodzi przewidujący ustanowienie takiej odznaki, zapewnia jej nadanie charakteru poważnego, wysokiego wyróżnienia, które nie może i nie powinno być wyróżnieniem ani masowym, ani zdewaluowanym przez przyznanie go osobom o średnim poziomie zasług".

Do tej pory przyznano przeszło 6.000 Odznak. Można więc dyskutować nad tym, czy Odznaka już się zdewaluowała, czy nie, czy 6.000 Odznak w mieście liczącym 750.000 mieszkańców to dużo czy mało i czy zawsze otrzymały je osoby — jak chce tego uchwała — szczególnie wyróżniające się. Opinie na pewno będą podzielone. Ale warto taką dyskusję podjąć. Odznaka Honorowa m. Łodzi jest bowiem formą społecznego wyróżnienia i łodzianom nie jest obojętne, kogo honoruje się w ich imieniu. Gdybym miała uczestniczyć w takiej dyskusji, moje propozycje byłyby następujące: Po pierwsze — należałoby zdecydowanie zmniejszyć ilość przyznawanych Odznak. W ten sposób

Fot. E. Kudaj

bardziej oceniają ich jako swoich pracowników lub działaczy, niż jako rzeczywiście wyróżniających się łodzian. A przecież każda instytucja czy organizacja, w tym także związki zawodowe, mają własne możliwości odznaczania i wyróżniania. Za dobrą i długoletnią pracę instytucje przyznają jubileuszowe premie i nagrody. Za aktywną działalność organizacje i związki nagradzają swoimi odznakami. Istnieje na przykład Odznaka Związku Nauczycielstwa Polskiego, Odznaka im. Janka Krasickiego oraz odznaki poszczególnych związków zawodowych. Trzeba się więc chyba zastanowić, czy za dobre wykonywanie obowiązków zawodowych, długoletnią pracę i działalność w tych organizacjach nie należy przede wszystkim nagradzać własnymi odznakami. Nauczyciel wzorowo opiekujący się w swojej szkole kołem ZMS powinien raczej preferować powstałyby warunki do dokonywania lepszego wyboru spośród znacznej ilości kandydatów. Gwarantowałoby to przyznawanie Odznaki osobom rzeczywiście zasługującym na szczególne uznanie za pracę dla rozwoju Łodzi. Po drugie — proponuję przyznawać Odznakę Honorową m. Łodzi tylko trzy razy do roku: 19 stycznia z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi, 1 maja — z okazji Święta Pracy i 22 lipca — z okazji Święta Odrodzenia. Wtedy powstałaby możliwość informowania łodzian nie tylko o tym, kto otrzymał Odznakę, ale też o tym, za co. Tak, jak postępuje się obecnie przy okazji nadawania nagród miasta Łodzi.

Wydaje się, że zarówno zmniejszenie ilości Odznak, jak i okazji do ich nadawania, podniosłoby rangę odznaczenia, które w Łodzi stworzono dla najwyższego uhonorowania pracy dla miasta.

PÓŁKA z KSIĄŻKĄ MI

OPOWIADANIA LAWRENCE'A

„Kobieta i paw" * to tytuł zbioru opowiadań powieściopisarza i poety angielskiego Dawida Herberta Lawrence. Tak, jak i w innych dziełach tego pisarza, głównym problemem eksponowanym we wszystkich opowiadaniach jest konflikt między rozsądkiem i uczuciem, a tematem miłość, którą Lawrence traktuje jako sprawę dla ludzi najważniejszą. Dla bohatera opowiadania „Anglio ,moja Anglio!" miłość jest jedynym sensem istnienia; kiedy jej zabrakło, Egbert nie ma po co żyć.

Mimo, że opowiadań Lawrenca — a jest to wznowienie przedwojennego przekładu — nie zalicza się do najlepszych utworów tego pisarza, to są one istotne o tyle, że powstały w okresie dramatycznych przeżyć pisarza i dojrzewania jego artystycznych idei, że są charakterystyczne zarówno dla poszukiwań twórczych, jak i dla klimatu jego prozy. Lawrance dopiero od niedawna zdobył sobie trwałe miejsce w literaturze. Przez wiele lat wokół jego książek istniała atmosfera skandalu i taniej sensacji. Niektóre z nich, uznawane za dzieła niemoralne długo nie mogły ukazać się drukiem. Inne stały się przedmiotem rynkowych spekulacji. Wszystko dlatego, że Lawrence (1885-1930), jak na owe czasy, niezwykle śmiało atakował obłudną moralność seksualną. „Tym, czego nie lubię — pisał Lawrence — jest seks tani i przypadkowy. Tym, co uważam za najistotniejsze, jest seks delikatny, wrażliwy, żywy, któremu nie wolno uchybiać". W polskim przekładzie dostępna jest bodaj najciekawsza książka tego pisarza „Synowie i kochankowie". Inną, „Kochanek Lady Chatterley", znamy z wersji filmowej.

B.M.

* D. H. Lawrence — „Kobieta i paw", Czytelnik, W-wa 1971, str. 317, cena zł 20.—

DZIENNIKI LUBOMIRSKIEGO

Nakładem Instytutu Wydawniczego PAX ukazała się książka „Pod władzą księcia Repnina" * zawierająca fragmenty pamiętników i dzienników historycznych marszałka wielkiego koronnego Stanisława Lubomirskiego. Zapiski Lubomirskiego przedstawiają lata 1764-1768, a więc pierwszy okres panowania Stanisława Augusta. Wtedy ostatecznie ukształtowały się warunki polityczne określające byt Polski aż do Sejmu Wielkiego, powstały stronnictwa dworskie, a także uformowały się polityczne zwyczaje między dworem w Warszawie i Petersburgu.

Wydane obecnie dzienniki Lubomirskiego z pewnością poszerzą naszą wiedzę o wcześniejszym okresie panowania Stanisława Augusta, o którym wiemy stosunkowo mało. Toteż należy je traktować jako źródło historyczne, choć sam Lubomirski przygotowywał je przede wszystkim jako materiały polityczne, przedstawiające poglądy Familii Czartoryskich, z którą król zerwał w latach 1763-1767. Właśnie zerwaniu współpracy Familii z królem Lubomirski poświęcił w swoich pismach najwięcej miejsca. Był to zresztą fakt, który tragicznie zaważył na późniejszych losach Polski.

Relacja Lubomirskiego z wydarzeń tamtego okresu jest utrzymana w tonie spokojnym i rzeczowym. Z wielką oszczędnością i powściągliwością słowa przedstawia fakty, rzadko pozwalając sobie na jakikolwiek komentarz. Żywo i barwnie kreśli charakterystyki polityków, przede wszystkim króla, którego postępowanie surowo i krytycznie ocenia ten wybitny mąż stanu.

B. M.

* Stanisław Lubomirski — „Pod władzą księcia Repnina", Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1971, str. 220, cena zł 35,—

„DROGA PRZEZ MOCZARY"

Powieść Elisabeth Langgässer „Droga przez moczary" po raz pierwszy została wydana w Niemczech w roku 1936 i niemal natychmiast potępiona przez cenzurę hitlerowską. Co prawda argumentem był fakt, że autorka była pół-Żydówką, ale i bez tego powieść zostałaby zakazana za niezwykle drastyczne przedstawienie stosunków politycznych i społecznych, na gruncie których wyrósł hitleryzm. Autorka udowadnia w niej tezę, że pamięć o I wojnie światowej była w narodzie żywa, że w ukryciu tylko przygotowywano się do następnej wojny. Akcja powieści „Droga przez moczary" dzieje się w roku 1930, w Nadrenii, skąd zresztą Elisabeth Langgässer pochodzi — początkowo na terenie opuszczonych przez wojska francuskie koszar, potem na wsi, w której pamięć wielu wojen głęboko tkwiła w świadomości miejscowego społeczeństwa. Bohaterem jest człowiek, który z I wojny światowej wyszedł tragicznie obłąkany, człowiek, który nie pamięta swego nazwiska i nie wie gdzie jest jego ojczyzna. Inne postacie powieści to kaleki wojenne, prostytutki, kretyni, licytowani za długi chłopi i szpiedzy. Cechuje ich okrucieństwo i sadyzm, wszyscy na coś czekają i spiskują, nie bardzo sobie zdając sprawę, co z tego wyniknie. Atmosfera powieści utrzymanej w manierze ekspresjonistycznej jest ciężka, akcja jest miejscami niezrozumiała lub wręcz absurdalna, jak w koszmarnym śnie, który ma ostrzegać przed okrucieństwami nowej wojny.

B. M.

* Elisabeth Langgässer, „Droga przez moczary", Instytut Wyd. „PAX", str. 275, cena zł 28.—

Na marginesie festiwalowych emocji

HORACY SAFRIN

Piosenka nie ujdzie cało...

Oskar Wilde, zapytany przez przyjaciół, dlaczego jego utwory sceniczne nie są „wysokiego lotu", odpowiedział bez wahania:

— Moje komedie są przeciętne, bo napisałem je dla przeciętnego widza...

Tę responsę Lorda Paradoksa można by śmiało zastosować do piosenki „lekkiej, łatwej i przyjemnej", która z biegiem lat zyskała absolutną supremację na falach eteru, a i w programach estradowo-koncertowych z powodzeniem wypiera muzykę poważną. Odnosi się to w równej mierze do kompozytorów, jak i wykonawców. Co tu obwijać w bawełnę? Frank Sinatra i Czesław Niemen są niewątpliwie bardziej znani ogółowi naszej młodzieży, niż arcymistrze belcanta i koloratury.

Melomani mojej generacji, którzy z łezką w oku wspominają Korolewicz-Waydową czy Adama Didura, z dezaprobatą wzruszają ramionami i zrzędzą:

— Któż by słuchał takich muzyczno-słownych dyrdymałek za naszych czasów?

Moi szanowni rówieśnicy, cierpiący na częściowy zanik pamięci — przynajmniej w dziedzinie muzy Erato — zdają się przy tym zapominać, jakie melodie i teksty dominowały na deskach estradowych w Polsce przedwrześniowej, jakie cudeńka słowno-muzyczne trafiały, jeśli nie pod strzechy chłopskie, to do większości domostw mieszczańskich i były na ustach podtatusiałych panów oraz dorastającej młodzieży.

Pozwolę sobie zacytować skoczną prekursorkę świadomego macierzyństwa i środków antykoncepcyjnych, piosenkę o jakże wymownym refrenie:

Bo ja się boję utyć
i tu i tam...

Albo wspomnijmy taką perełkę poezji marynistycznej:

W majtkach cała tkwi życia treść.
Majtkom chwała, majtkom i cześć!
Ja te majtki na wylot znam,
bo majtkiem jestem sam!

Albo przytoczę taki swoisty „Hymn o zachodzie słońca" (Wybacz mi, Wieszczu!):

Słońce zaszło — a panna Mania też.

Albo napomknę o dźwięcznej reklamie napojów wyskokowych made in Poland:

Rozkoszny szmerek w pijanej główce mam...

Oczywiście, wszystkie majstersztyki niesmaku i bzdury, których (pożal się Boże) „twórcy" czerpali sute tantiemy z „Zaiksu", pokryła noc zapomnienia. Tylko czasami na głuchej prowincji rzadko z prologiem i epilogiem. Stwierdzam jedynie, że publiczność zarówno opolska jak i kołobrzeska kiwała się w takt bardzo przeciętnych piosenek, a jury podniosło je do rangi przebojów 1971 roku. Słowem: spełniło postulat jednego z najznakomitszych fin de siecle-owych pisarzy.

A że zdarzają się w tych przebojach poślizgi językowe i logiczne, to trudno. Piosenka „Srebrne wesele" wyszła na ulicę w najściślejszym tego słowa znaczeniu i lud nasz z uporem nuci: „Rodzince strzeliło dwadzieścia pięć lat!", choć w mowie potocznej każdy absolwent szkoły podstawowej wyrazi się nieomylnie: „Dziadkowi stuknęła siedemdziesiątka".

W Kołobrzegu dwakroć święciła triumfy melodyjna piosenka: „Szli na zachód osadnicy szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy", choć wiadomo, że od niepamiętnych lat Niedźwiedzica owa wskazuje nam północ. Któż by jednak postulował, aby „przebój" mieścił się w kategoriach prawidłowego myślenia? Przypomnijmy sobie, ile szczerego sentymentu żywiliśmy i żywimy do prymitywnych strof żołnierskiej piosenki, opiewającej ładny widok ułana tratowanego końmi przez towarzyszy broni. A w pięćdziesiątą rocznicę Powstania Styczniowego ja sam roniłem gorące łzy nad śpiewanym wierszykiem: „Leci liście z drzewa, co wyrosło wolne", aczkolwiek, jak pamięć ludzka sięga, nigdy na żadnej gałęzi nie zielenił się niewolny liść...

Toteż śledząc z uwagą budujący serial „Czterej pancerni i pies" nie zastanawiałem się nad wydźwiękiem poprzedzającej każdy odcinek piosenki, której finał brzmiał:

Do domu wrócimy
tylko zwyciężymy,
a to ważna gra!

Nigdy też nie oburzałem się na autora, który gwoli rymu najkrwawszą w dziejach ludzkości rzeź światową nazwał grą, telewidzowie zaś chcąc nie chcąc nauczyli się tej nonsensowej śpiewogry na pamięć.

A gaffy i gaffki popełnia nie tylko jury naszych imprez festiwalowych.

Pamiętam taki epizod z mojej młodości „górnej i durnej":

Przebywałem na studiach uniwersyteckich we Lwowie, ocierając się nieśmiało o kręgi literackie, gdy miejscowe browary ogłosiły konkurs na rymowany slogan, zachwalający ich nektar chmielno-słodowy. Nagroda była niebagatelna: pięćset złotych w złocie.

Luminarze poezji, bywalcy sławetnej knajpy Atlasa, zabrali się żwawo do roboty. Posypały się koncepty jak z rogu Amaltei. Ignacy Nikorowicz, Jan Stur, Henryk Zbierzchowski, rycerze i ciury skrzydlatego rumaka głowili się nad najbardziej finezyjnym rozwiązaniem tego niecodziennego zadania.

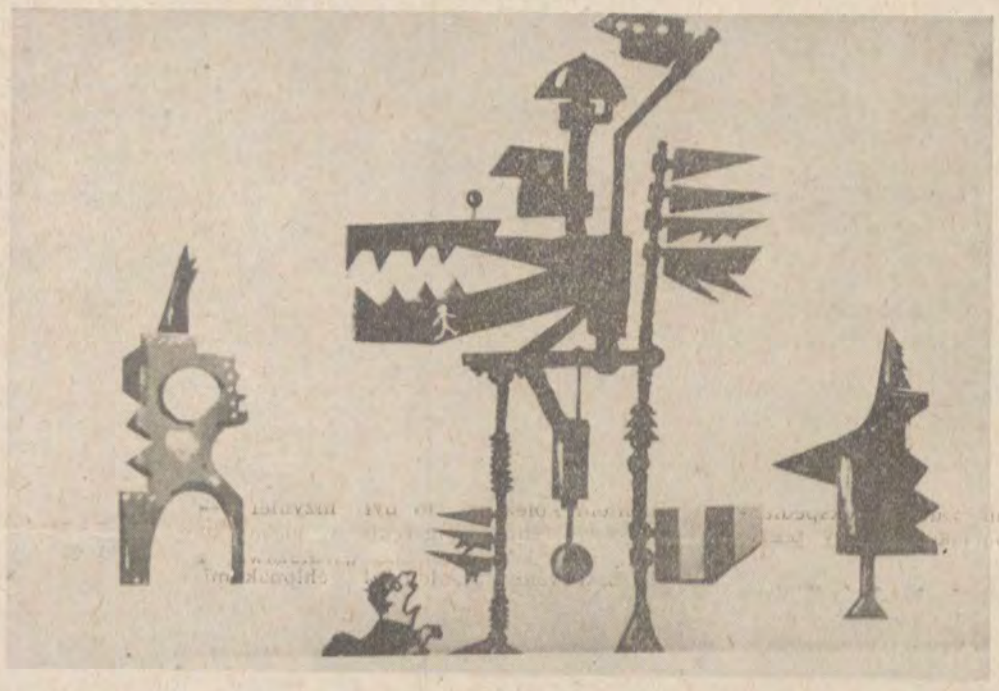

Fot. Archiwum Se-Ma-Fora

pokutują ich rozpoznawalne odgłosy...

Moiście wy kochani! Nie zamierzam bynajmniej usprawiedliwiać przeciętnego na ogół poziomu współczesnej piosenki, przeciwstawiając jej wulgarne teksty przedwojennych „szlagierów". Ba, jestem daleki od tego, aby wymagać od aktualnych „songów" bladego bodaj podobieństwa do francuskiego „chanson triste" czyli najzwięźlejszego dramatu w trzech aktach, nie-

No, i co powiecie? Jury przyznało palmę pierwszeństwa najprymitywniejszemu dystychowi o częstochowskich rymach, który brzmiał: „Kto chce długo żyć, musi piwo lwowskie pić!"

Niestety, znakomita większość prezentowanych na festiwalach „songów" nie wywołała „rozkosznego szmerku" w głowie czułego słuchacza, toteż nie wróżę im długiego żywota. Tylko nieliczne z nich ujdą cało.

TELEOBIEKTYW

SCENOGRAFIA I DUCHY

Najlepszym rozwiązaniem wszelkich kłopotów programowych w telewizji są imprezy sportowe. Długie to, wypełnia dużo czasu, za poziom audycji telewizja odpowiedzialności nie bierze, w reżyserowaniu nie uczestniczy. Nikt nie ma do sprawozdawcy pretensji o to, że zawodnik polski, który miał wygrać, przegrał sromotnie, bo mu zagraniczny rywal z zazdrości przydepnął piętę i ściągnął z nogi pantofel, albo że polski as, który ma na swoim koncie cztery nieudane biegi, piąty raz nie zawiódł i również pobiegł źle. Mowa oczywiście o europejskich mistrzostwach lekkoatletycznych w Helsinkach, które w programie telewizyjnym ubiegłego tygodnia zdominowały wszystkie inne audycje. Sport jest dobry na wszystko, na sport jest zawsze czas w nieograniczonych ilościach. Co innego transmisje poważniejsze. Zabrakło nam na przykład czasu, by transmitować godzinę trwający powrót kosmonautów Apolla 15 na Ziemię. Na transmisje sportowe nigdy czasu nie brakuje. W ciągu kilku tygodni sprawozdania sportowe zastępowały tradycyjne czwartkowe dreszczowce — teatr czy film kryminalny. Czy były to imprezy kryminalne nie wiem, nie oglądam.

Pierwszy po dłuższej przerwie Teatr Sensacji „Niebezpieczne ścieżki" Mariana Reniaka nie poprawił samopoczucia. Nie dlatego, żeby to trzyczęściowe przedstawienie było złe tylko, że już raz je oglądaliśmy. Nie jestem wrogiem wznowień, parę wierszy niżej proponuję powtórzenie sztuki. Ale obowiązują przecież jakieś zasady fair play. Nie zapowiada się wznowienia tak samo jak premiery, trzeba przynajmniej zaznaczyć, że rzecz nie jest nowa.

Z przedstawień teatralnych odnotować warto „Grupę Laokoona" Tadeusza Różewicza w reżyserii Olgi Lipińskiej, bo dla większości telewidzów w kraju, nie odbierających drugiego programu, powtórzenie sierpniowe było premierą. Prześliczne to przedstawienie, za które tyleż ukłonów autorowi co reżyserowi i wykonawcom (D. Szafiarska, B. Pawlik, A. Szczepkowski, A. Zaorski i inni). Olga Lipińska znakomicie wykorzystała swobodę, jaką zostawia realizatorom Różewicz — dramaturg, aktorzy znakomicie zrozumieli autora i reżysera. I dzięki temu otrzymaliśmy dziełko przezabawne, subtelne i finezyjnie wykpiwające pustosłowie, dyletanctwo, pozerstwo, kabotynizm we wszelkich jego odmianach. Chciałoby się prosić o pokazanie tego przedstawienia jeszcze raz za czas jakiś.

„Przygoda w Manor Farm" według dickensowskiego „Klubu Pickwicka", w reżyserii Lecha Komarnickiego, otrzymała również doborową obsadę aktorską (L. Ordon, W. Gliński, H. Kossobudzka, I. Śmiałowski, S. Butrym i in.), co w głównej chyba mierze zadecydowało o walorach przedstawienia. Dla amatorów humoru dickensowskiego — rzecz sympatyczna i zabawna.

Gorzej nam się udały, czy raczej realizatorom, programy rozrywkowe z łódzkim „Uśmiechem i piosenką francuską" na czele. Był to niewątpliwie najsłabszy z serii tych programów, przygotowywanych tradycyjnie przez łódzki ośrodek. Uśmiech był bardzo anemiczny, anegdoty nie najnowsze, historia o polowaniu na kaczkę udowodniła, że nawet dowcipu nie wolno opowiadać za długo, zwłaszcza gdy nie jest najzabawniejszy. Akcja toczyła się chwilami jak na zwolnionym filmie, a francuski temperament i esprit zastąpić miały scenograficzne mobile, kręcące się natrętnie za plecami piosenkarzy, denerwujące i odwracające uwagę od wykonawców.

Takiego czegoś, kręcącego się uparcie, używał pewien psychiatra do usypiania pacjentów w angielskim serialu „Randall i duch Hopkirka". Mam nadzieję, że telewizyjni scenografowie widzieli ten odcinek i wyciągnęli z niego odpowiednie wnioski. A swoją drogą Randall i Hopkirk nie osiągnęli u nas takiej popularności jak na przykład rodzina Forsyte'ów czy Kildare. Nie lubimy widać działalności sił nadprzyrodzonych. A przecież angielskie duchy są najlepsze na świecie. Anglicy osiągnęli w produkcji tego towaru pierwszeństwo i w naszym zmaterializowanym świecie nikt nigdy już im nie dorówna.

ZASTĘPCA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Współczesne dzieci przestały już bawić się w Indian, bawią się teraz w kosmonautów. Dla filmowców zabawa w kosmonautów byłaby droga i ryzykowna, więc filmowcy bawią się dalej w Indian. I skutkiem tego na naszych ekranach pojawia się „UNKAS — OSTATNI MOHIKANIN", jeszcze jeden kolejny film o Indianach. Ściśle mówiąc, czwarty na przestrzeni ostatnich trzech lat. Przedostatnim był zachodnioniemiecki „Ostatni Mohikanin". Wszystkie oparte na powieściach Jamesa Coopera. Wersja francusko-rumuńska (reżyseria: Jean Dreville i Sergiu Nicolaescu) nie różni się od zachodnioniemieckiej prawie wcale.

Jak widać, ten mocno już wyeksploatowany temat biologicznego wyniszczenia plemion indiańskich przez Brytyjczyków ciągle jest dla realizatorów filmowych atrakcyjny. Czy równie atrakcyjny dla widzów? Film ten nie wzbogaca naszej wiedzy o niczym. Ani o historii zagłady Indian, ani o ich życiu, obyczajach i charakterach. Ani w sensie historycznym, ani obyczajowym. Nie wzbogaca też naszej wiedzy o sztuce filmowej. Równie dobrze mógł być zrobiony — w sensie artystycznym — dziesięć, piętnaście i dwadzieścia lat temu.

Zaczyna się to interesującym, jak na upalne lato pejzażem — śnieżną panoramą. Ale na tym kończą się uroki. Dalej wszystko odbywa się według ustalonego schematu: biali prześladowcy przeciwko prześladowanym czerwonoskórym, narrator-mediator — szlachetny biały człowiek — przyjaciel Indian, który robi dla nich co może, ale niewiele może, żeby reżyser nie wszedł w kolizję z prawdą historyczną. W białej dziewczynie kocha się bez pamięci i nie bez wzajemności szlachetny czerwonoskóry Unkas... Znacie? No to możecie jeszcze raz obejrzeć.

Że są jeszcze realizatorzy, którym chce się robić takie filmy — nie nasza sprawa. Że kupuje je Centrala Wynajmu Filmów — to już nasza. Dla kogo, po co? Jeżeli nasi podrastający co kilka lat chłopcy naprawdę muszą te egzotyczne kicze oglądać, to można przecież odgrzebać coś z archiwum. Różnica żadna, a koszt znacznie mniejszy.

* * *

Przyszła widać passa na egzotykę, bo oto druga pozycja, którą przyszło mi omówić to „CYGAN BURDUSZ", film produkcji jugosłowiańskiej, reżyserii Miki Popovicza, opowieść poetycka, przez realizatorów nazwana balladą. Reżyser jest również pisarzem, scenarzystą, krytykiem plastycznym, a także malarzem. I ta wielokierunkowość zainteresowań, szczególnie plastycznych, nie pozostała bez wpływu na kształt filmu. Otwierają go pejzaże autorstwa serbskich malarzy — prymitywistów, wprowadzając widza z miejsca w nastrój ballady ludowej. Ale wielorakość zainteresowań reżysera ma też dla filmu ujemne skutki. Nazbyt wiele chciał autor pokazać w swym dziele, które miało być balladą o cygańskim muzyku-basiście, miało być swoistym portretem tego muzyka. Zbyt wiele chciał pokazać i dlatego może akcja jest mało przejrzysta, wątki retrospekcyjne, choć oddzielone kolorem, mieszają się z teraźniejszością i trudno się w końcu zorientować co się dzieje dziś, co wczoraj, a co przedwczoraj. Jest i wojna i okupacja i knajpy i telewizja i teatrzyk zawodowy i żona wracająca jak bumerang z różnych okresów życia i tyle tego wszystkiego, że aż się w głowie kręci.

A jednak nie jest to film pozbawiony zalet. Sprawia to oryginalna, smętna, urokliwa muzyka cygańska, cygańskie pieśni, sprawia to przede wszystkim gra głównego bohatera. Kreuje tę postać znany jugosłowiański aktor teatralny Jovan Janicijević. I tworzy sylwetkę tak krwistą, tak autentyczną, że aż wzruszającą. I stanowiącą główny walor filmu. Dwie doskonałe postacie charakterystyczne stworzyli też jego partnerzy: Milan Srdoć (Rajkoskrzypek) i Miodrag Andrić (Cane-harmonista).

T. WOJ.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SIERGIEJ OBRAZCOW I JEGO TEATR

— pod takim tytułem radziecki magazyn „Sputnik" w ostatnim numerze z sierpnia br. przynosi dwa obszerne fragmenty opowiadania aktorów zaczerpnięte z książki pt. „Teatr lalek pod kierownictwem Siergieja Obrazcowa".

Autorzy w swych wspomnieniach cofają się aż do początków tego teatru gdy w roku 1931 zaczynali swą działalność artystyczną w ramach pracy Centralnego Domu Artystycznego Wychowania Dzieci. Personel teatru stanowiło wówczas sześciu aktorów, trzech muzyków, jeden plastyk, jeden stolarz i krawcowa. Zespół musiał wypracować sobie program, styl, zdobywać doświadczenie. „Co grać?" — było pierwszym zasadniczym pytaniem na jakie należało odpowiedzieć. Po dyskusjach postanowiono, że teatr lalek nie będzie grał tego co zwykły teatr może zagrać lepiej. Na początek więc zagrano baśń ludową o szczupaku. Spektakl spotkał się z ogromnym powodzeniem u młodocianych widzów i sztuka wystawiana jest po dziś dzień.

Ale teatr Obrazcowa nie ograniczył się jedynie do przedstawień dla dzieci. Pierwszym spektaklem dla dorosłych była „Lampa Aladyna". Powodzenie teatru lalek sprawiło, że wkrótce stał się on samodzielną placówką gdy otrzymał od władz miasta Moskwy nową, wygodną i należycie wyposażoną siedzibę przy Placu Majakowskiego. Tu teatr Obrazcowa dawał przez cztery lata przedstawienia. Wybuchła wojna. Po miesiącu niemiecka bomba rozbiła budynek teatralny. Zespół zebrał to co się uratowało — lalki i rekwizyty i wyruszył w daleką podróż statkiem rzekami Moskwą, Oką, Wołgą, Kamą potem pociągiem aż do Nowosybirska. W czasie tej podróży Obrazcow i jego teatr dawał przedstawienia w miastach i wsiach, głównie dla wojska i szpitali wojskowych. Potem opracowano specjalny program dla żołnierzy frontowych i podzieliwszy się na dwie brygady artystyczne wyruszono, aby dawać przedstawienia na froncie. Ponadto Obrazcow i jego współpracownicy powołali do teatru lalkowego innych artystów, wyuczyli ich, tak że wkrótce działało aż szesnaście frontowych teatrów lalkowych.

Po wojnie działalność teatru Obrazcowa znów rozwijała się w odbudowanym budynku przy Placu Majakowskiego, a dziś, począwszy od jesieni ub. r. teatr ten mieści się w centrum Moskwy w pięknym, dużym gmachu, gdzie znajdują się dwie obszerne widownie, jedna dla dzieci, druga dla dorosłych. Są tu bogato wyposażone pracownie i urządzenia, muzeum, ogród zimowy, wspaniałe akwarium z rybkami z całego świata, a nawet basen, gdzie żyje mały krokodyl przywieziony z Afryki.

Teatr Obrazcowa w ciągu czterdziestu lat swej działalności wypracował swój własny styl, zdobył ogromne doświadczenie i znany jest na całym świecie.

Ciekawe są spostrzeżenia autorów wspomnień o reakcji dzieci na przedstawienia lalkowe. Otóż wystarczy niewielka tylko różnica lat między młodymi widzami, by reagowali oni zupełnie inaczej. I tak najmłodszym widzom od lat sześciu nie można pokazywać przedstawień gdzie dzieje się coś groźnego. Na przykład gdy grano bajkę o Czerwonym Kapturku w momencie gdy wilk zjada babcię dzieci były się, krzyczały i płakały. Trzeba było więc dla nich opracowywać inne programy. Pokazano więc dzieciom laleczki — wesołe niedźwiadki. Nie było tu żadnej akcji, a mimo to dzieci były zachwycone gdy misie wstawały z łóżeczka, myły się, czyściły ząbki, gimnastykowały się i zjadały z apetytem śniadanie. Później teatr otrzymywał listy od rodziców z podziękowaniami. Bowiem młodziutcy widzowie, naśladując grzeczne niedźwiadki, starannie myły się, nie kaprysiły przy jedzeniu, chętnie uprawiały ranną gimnastykę bo widziały, że tak właśnie postępują misie w teatrze Obrazcowa.

Siergiej Obrazcow z ulubioną laleczką

FAŁSZERZ ORYGINALNYM MALARZEM?

Przed trzema laty handlarz dziełami sztuki David Stein został przyłapany na tym, że sprzedaje za ogromne sumy sfałszowane przez siebie płótna rzekome Picassa, Chagalla i Matisse'a. Fałszerstwa były tak genialne, że Chagall, który pierwszy je odkrył był zdumiony doskonałością wykonania falsyfikatu. Obecnie Stein przebywa we francuskim więzieniu. Postanowił on, że tak jak poprzednio zdobył sławę fałszowaniem obrazów, to obecnie zdobędzie je własnymi, tym razem oryginalnymi dziełami. Namalował więc podczas odbywania kary cały szereg płócien. Wystawiane są one i sprzedawane w trzech prywatnych galeriach nowojorskich. Właściciel jednej z tych galerii twierdzi, że obrazy Steina mają popyt jak ciepłe bułeczki. Oczywiście obrazy te sprzedawane są po znacznie niższej cenie niż sfałszowane „Picassy" czy „Matissy".

Co najciekawsze Stein jako malarz nie może się uwolnić od sposobu malowania mistrzów których podrabiał. Podpisując je własnym nazwiskiem dodaje że stworzone są „W stylu... (Picassa, Chagalla, Matisse'a)". Z powodu dobrego sprawowania się

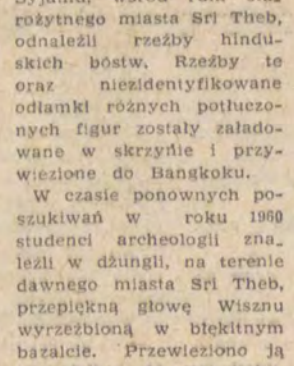

Jeden z obrazów Steina (nie fałszowanych)

Stein ma opuścić więzienie już za miesiąc.

ODNALAZŁ SIĘ TUŁÓW

Trzydziestoletni archeolog syjamski Nikkhom Musigakama dokonał bardzo ważnego odkrycia, które ucieszyło wszystkich miłośników starej sztuki azjatyckiej. Odnalazł on bowiem resztę starej rzeźby bóstwa Wisznu.

W roku 1920 archeolodzy podczas naukowej wyprawy do północnej części Syjamu, wśród ruin starożytnego miasta Sri Theb, odnaleźli rzeźby hinduskich bóstw. Rzeźby te oraz niezidentyfikowane odłamki różnych potłuczonych figur zostały załadowane w skrzyńie i przywiezione do Bangkoku.

W czasie ponownych poszukiwań w roku 1960 studenci archeologii znaleźli w dżungli, na terenie dawnego miasta Sri Theb, przepiękną głowę Wisznu wyrzeźbioną w błękitnym bazalcie. Przewieziono ją triumfalnie do Bangkoku, gdzie została wystawiona w Państwowym Muzeum. Jednym z tych studentów biorących udział w wyprawie do dżungli był Nikkhom Musigakama, który obecnie jest kierownikiem wystaw Państwowego Muzeum w Bangkoku. Jemu to właśnie niedawno przyszło na myśl by zajrzeć do skrzyń zawierających odłamki rzeźb, a nie ruszanych od lat pięćdziesięciu. I wtedy to starannie przeglądając pogruchotane części posążków i rzeźb, Nikkhom Musigakama odkrył i zindentyfikował nieuszkodzony tułów rzeźby Wisznu, pasujący dokładnie do posiadanej przez Muzeum rzeźbionej głowy. Przypomnijmy przy okazji, że Wisznu w hinduizmie jest jednym z głównych bóstw. Najbardziej zaś znanymi jego wcieleniami byli, według wierzeń hinduskich, Kriszna i Rama.

Archeolog Nikkhom Musigakama i rzeźba Wisznu

Rzeźba Wisznu obecnie już cała, zajmuje honorowe miejsce w Państwowym Muzeum w Bangkoku stanowiąc jeden z najbardziej cennych eksponatów tego muzeum. Rzeźba ta pochodzi z ósmego wieku.

NOWA SZTUKA AGATHY CHRISTIE

Sztuka Agathy Christie słynnej powieściopisarki detektywistycznej „Pułapka na myszy" od 19 lat nieprzerwanie grana jest na scenie jednego z londyńskich teatrów. Mając lat osiemdziesiąt sędziwa pisarka napisała ostatnio znów sztukę dramatyczną, pierwszą od lat dziesięciu pt. „Fiddlers Five". Jest to kryminalna komedia, której bohaterem jest siedemdziesięcioletni milioner. W roli tej wystąpi w przyszłym miesiącu w Cambridge siedemdziesięcioczteroletni aktor. James Anderson. Autorka najprawdopodobniej nie będzie na prapremierze gdyż niedawno złamała nogę. Podobno jednak szybko powraca do zdrowia.

Agatha Christie

W następnym numerze „Odgłosów":

- **JAN KOPROWSKI** — Mój wrzesień
- **PIOTR ŚCIEBURA** — Studenci z Bielska
- **J. KISSON-JASZCZYŃSKI** — Termopile leżą pod Piotrkowem

oraz recenzje felietony, nowela kryminalna

Bez strachu

WĄŻ MORSKI

Był sobie wąż morski — żył i myślał żyć, na serio, poważnie. Miał jednak kłopoty z pokarmem — jednego dnia wpadało mu w zęby zbyt wiele jadła, innego dnia nic. „Tak dalej być nie może" pomyślał wąż morski „raczej zacznę kształtować przypadki, a nie pozostanę ich ofiarą". Wpadli mu właśnie w zęby mężczyzna i kobieta. Wąż oszczędził ich i bardzo ostrożnie dopłynął do odludnej wyspy gdzie swobodnie wypuścił jeńców. Po wielu latach wąż przypłynął do wyspy, która niegdyś była bezludna i zobaczył kilkunastu mężczyzn i kilkanaście kobiet zajętych pracą lub zabawą. Wąż ucapił kilkoro z nich i spożył „Oto" pomyślał „stateczny tryb życia. Jeszcze ze sto takich wysp a będę regularnie spożywał posiłki zaszczycając mieszkańców odwiedzinami w ściśle określonych odstępach czasu". Tak powiedział wąż i odpłynął. Mijały lata. Wąż przypływał raz do roku i spożywał w zależności od apetytu jednego, kilku lub kilkunastu ludzi. Wąż jednak zarezerwował dla siebie wybieranie tych, którzy mieli być spożyci. Nie zdołano ustalić miar — raz zjadał szczupłych, raz tłustych, raz kobiety, raz mężczyzn, raz młodych, raz starych, niekiedy łykał bogaczy, a niekiedy biedaków. Na wyspie powstało przysłowie — „Nikt nie wie czy zostanie zjedzony" pysznym zarzucano „Nosisz się tak, jakbyś miał być połknięty przez węża". Podnieśli się szalbierze i szarlatani, którzy za opłatą przepowiadali datę i fakt spożycia. Sprzedawali amulety i szaty, które miały wpływać tak czy inaczej na apetyt węża. Jeden tylko żył wśród wyspiarzy młody człowiek, który żyjąc na stronie, bacznie obejrzał węża w czasie, gdy ten posilał się mieszkańcami wyspy. Dziwny ten młodzieniec ściął dwa drzewa, oczyścił je z gałęzi i zaostrzył ich końce. Minął stosowny czas, pojawił się wąż, młodzieniec postąpił ku niemu mierząc w otwartą paszczę. I oto zasadził drzewo w dolnej i górnej części paszczy. Następnie drugim kołem sprawił wężowi straszliwe lanie. Sytuacja węża była tym gorsza, że pragnąc utrzymać autorytet wśród wyspiarzy musiał udawać, że plagi te uważa za rodzaj hołdu. Wreszcie młody człowiek ubił węża. Wśród wyspiarzy powstały stronnictwa popierające lub potępiające ten krok. Wężobójcę ubito i przez długie lata sprzedawano kanapki z wężem, bądź z tym, który węża zabił.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

GDZIE LEŻY ŁÓDŹ?

LEKARSTWO NA FILM — ZABAWNA NAIWNOŚĆ — KARTA MELDUNKOWA A INTERES SPOŁECZNY — PRYWATNA AFERA — GRAMATYKA I ARGUMENTACJA — KTO JEST PROWINCJONALNY? — SPOŁECZNI NEOFICI

Dawno już nikt nie przenosił do Warszawy łódzkiej Szkoły Filmowej. Dziwiłem się nawet co się stało warszawskim filmowcom i publicystom, że nie wracają do sprawy, którą wałkują od lat z upartą regularnością.

No i doczekałem się! Marek Groński w „Szpilkach" krytykując etiudy studenckie prezentowane na festiwalu w Nowej Rudzie pisze:

„Filmy te powinni koniecznie zobaczyć ludzie odpowiadający z urzędu za stan naszej kinematografii. Nie wolno dłużej tolerować podobnej grandy. Trzeba ratować, co się da. Odebrać kosztowną zabawkę indolentom i krzykaczom. Zmienić profil uczelni, która w swym obecnym kształcie nie jest zdolna wychowywać nawet fotosistów. Pisze się już od dawna o konieczności przeniesienia szkoły filmowej do Warszawy. To, co zobaczyli uczestnicy Festiwalu w Nowej Rudzie, jest już nie dzwonkiem, lecz dzwonem bijącym na alarm. W interesie ogłupianej młodzieży należy sprawić aby sławna niegdyś uczelnia przestała wreszcie leżeć gdzieś pomiędzy Niepokalanowem a Tworkami".

Więc znów warszawski publicysta znalazł lekarstwo na uzdrowienie polskiego filmu i podniesienie poziomu PWSTiF. Wreszcie wiemy, gdzie jest pies pogrzebany — oczywiście w Łodzi. Wystarczy przenieść szkołę filmową do Warszawy i wszystko będzie pięknie.

Właściwie bawi mnie ta naiwność i te — z głupia frant — dobre rady. Marek Groński ustawia się zupełnie tak samo jak ci profesorowie PWSTiF, którzy meldując się w Warszawie uważają, że i szkołę trzeba przemeldować. Jest to zupełnie zrozumiałe, wiem, że trudno mieszkać w stolicy a pracować w Łodzi — nie rozumiem natomiast co ma wspólnego zmęczenie podróżą kilku panów z interesem filmu i uczelni. I po co Marek Groński pakuje się w tę prywatną aferę?

Marku drogi — przecież opuszczając Łódź i „Karuzelę", w której uprawiałeś finezyjny humor dla mas nie, zabrałeś do stolicy całej redakcji. Dlaczego więc uważasz, że w ślad za profesorami trzeba przenieść uczelnię? Innych argumentów naprawdę nie ma — jest tylko ten najzupełniej prywatny.

A w ogóle to cała sprawa jest śmieszna. Szkoła podupadła — zgoda, etiudy są słabe — zgoda — ale przecież co to ma wspólnego z geografią?

I co wspólnego ma to wszystko z gramatyką? Pisze Marek Groński: **„Zapowiadając jeden z pokazów (kierownik grupy) oświadczył, że zobaczymy filmy studentów szkoły filmowej imieniem Leona Schillera. Jak widać — konkluduje satyryk — znajomość języka polskiego przestała obowiązywać w pałacyku na ulicy Targowej. A cóż dopiero mówić o języku filmowym..."**

To nie są argumenty i nigdy bym się nie odważył kwestionować poglądów Grońskiego tylko dlatego, że sam popełnia błąd pisząc „w pałacyku na Targowej" zamiast „przy Targowej". Dajmy więc, lepiej pokój gramatyce, bo grunt to grząski.

Gdyby Groński nie napisał tego wszystkiego z tak śmiertelną powagą i z takim zacietrzewieniem mógłbym sądzić, że to po prostu „wice" satyryka. Ale nie — to wszystko jest serio. Tym bardziej śmieszne. Może taki był zamysł?

Nie będę więc polemizował bo trudno polemizować z krzykiem, i epitetami albo — jak pisze Groński — z dzwonem i to w dodatku bijącym (na alarm).

Wiem, że nic mnie nie uratuje — i tak zostanę pomówiony o prowincjonalny partykularyzm. To stara, wypróbowana metoda polemiczna. Jeśli warszawski publicysta woła o przeniesienie szkoły filmowej do stolicy — nikt go nie pomawia o warszawski partykularyzm. Jeśli łódzki publicysta kpi z tych nawoływań — oczywiście otrzymuje biachę w czoło i etykietkę „prowincjonalizm". Kiedyś mnie to irytowało — dziś tylko śmieszy.

A już najbardziej warszawscy są neofici stołeczni, którzy po metrykę jadą trzy dni wołami. Dla nich Łódź raptem leży między Niepokalanowem a Tworkami. Głupie to, niesmaczne i dyskutować z tym hadko.

JERZY WIDOK

ROBERT PHILLIPS

OSTATNI LIST

Pierwszy list przyszedł pewnego dnia jesienią. Sędzia Jonathan Matthews grabił łąkę w swym ogrodzie, na stosie paliły się suche liście.

Dan Bruce, przyjaciel i sąsiad, szedł ścieżką przez łąkę.

— Dzień dobry, Jonathanie, jak się czuje dziś Olivia?

— Jak zwykle. — W ciągu dwudziestu lat rozmowa obu mężczyzn zaczynała się od tego samego pytania.

— Czy to konieczne, żebyś wykonywał fizyczną pracę? Z twoim słabym sercem powinieneś wypoczywać, żyć spokojnie.

— Wypoczywać? Bezczynne życie zbliża człowieka do śmierci.

— Te roboty należą do ogrodnika, za to mu płacisz.

— Nasz ogrodnik jest leniwy, lecz Olivia upiera się, żeby go trzymać.

— Nie mam do niego zaufania — mruknął Dan. — Ludzie plotkują na jego temat już od pierwszego dnia, gdy przybył tu niewiadomo skąd.

— W jakim sensie?

— No, wiesz... kobiety... i różne...

— Nie dziwię się, to ładny młodzieniec.

Dan uśmiechnął się. — Jeżeli już o tym mówimy... czy przypominasz sobie tę śliczną pielęgniarkę, która cię odprowadziła do domu, gdy opuściłeś szpital?

— Marcella? Ostatni raz słyszałem o niej, że pracuje u pewnej staruszki cierpiącej na artretyzm w Colorado, czy w Texas, nie przypominam sobie...

— Szkoda, że wyjechała. To już prawie dziewięć miesięcy od czasu, gdy...

— Dan — przerwał sędzia uśmiechając się — mam wrażenie, że celowo zmieniłeś temat rozmowy. Mówiliśmy o moim ogrodniku.

— Tak, ale przyjemniej mówić o ładnej dziewczynie, prawda?

— Zostaw, Dan!

W tym momencie nadjechał listonosz. Sędzia poszedł do skrzynki wraz z przyjacielem. Przeczytawszy list podał go przyjacielowi z uśmiechem: Co o tym myślisz? Ktoś zabawia się w złośliwe anonimy.

Dan założył okulary i przeczytał: „Szanowny Panie, z ubolewaniem informuję, że pozostaje Panu tylko jeden tydzień życia. W piątek, 13 października wykonam następujący wyrok: Sędzio J. K. Matthews, za stracenie niewinnego człowieka skazuję pana na śmierć... Kat."

Dan przeraził się. — Musisz natychmiast zawiadomić policję!

— Ależ to śmieszne!

— Śmieszne? Grozi ci śmiercią, nie boisz się?

— Słuchaj, Dan. Przez dwadzieścia lat mojej pracy na stanowisku sędziego otrzymywałem co najmniej dwie lub trzy groźby tygodniowo. Gdybym się tym przejmował, moje serce już dawno odmówiłoby mi posłuszeństwa.

Ogrodnik Pete Jenkins zbliżył się do rozmawiających. Spojrzał na sędziego z wyrzutem: — Szukałem wszędzie moich grabi...

— Nie miałem nic do roboty, więc postanowiłem zgrabić liście.

— Ależ ja bym to sam zrobił po ustaniu wiatru. — Pete odebrał narzędzie z rąk sędziego. W tym momencie Olivia wyszła z domu niosąc pęk cebulek gladioli. Gdy Pete ją zobaczył, zawołał: — Proszę zaczekać, piękna kobieta nie powinna dźwigać ciężarów. — Zbliżył się do niej, uśmiechnęła się.

— Dan, proszę cię o przysługę, nie mów Olivii o tym liście. Nie chcę, żeby się martwiła. — To powiedziawszy spalił kopertę wraz z suchymi liśćmi.

Idąc w kierunku domu zauważył, że Pete i Olivia weszli do szopy ogrodowej...

* * *

Północ już minęła gdy sędzia, upewniwszy się, że Olivia śpi, wstał z łóżka i zszedł do biblioteki. Tam na maszynie swej żony napisał list do Marcelli Corey w szpitalu Carstairs, Colorado: „Serce moje, pierwsza część planu poszła dobrze. Przykro mi, że musiałem wciągnąć do tego Dana, lecz wszystko będzie zależało od jego zeznania. Niedługo napiszę, kochanie! Twój Jonathan".

Założył potem nową kartkę i napisał drugi list, który przyszedł następnego dnia...

„Pan J. K. Matthews, sędzia. Jak osądziłeś, tak będziesz osądzony. Jeszcze sześć dni. Kat". Dan zdjął okulary. — I dalej nie przejmujesz się?

— Nie. Umiem się jeszcze bronić. Mam pistolet w szufladzie, jeżeli coś zajdzie, wiem, jak się nim posłużyć.

— A twoja żona? Czy powiedziałeś jej o tym?

— Nie chcę jej straszyć.

Dan uśmiechnął się ironicznie. — Jest tak zajęta ogrodnikiem, że wątpię, aby się czymś przejęła.

— Wiem o tym, Dan, lecz myślę, że to jej przejdzie. A może ja zawiniłem?...

W ciągu ostatnich dziesięciu lat państwo Matthews nie żyli ze sobą w zgodzie. Olivia, córka bogatego przemysłowca, była od dziecka rozpieszczaną jedynaczką. Po ślubie Jonathan rzucił się w wir pracy, a jego żona spędzała czas na herbatkach lub podróżach. Rozłam między małżeństwem pogłębił się, gdy Olivia odziedziczyła wielki majątek po zmarłym ojcu.

Czwartego dnia, w poniedziałek, nie nadeszły listy. We wtorek trzeci list zawiadamiał: „Młyny poruszają się powoli, lecz obracają wszystko w proch. Jeszcze trzy dni... Kat."

* * *

Środa, godzina 10. W domu sędziego Dan czytał w bibliotece czwarty list, który nadszedł przed chwilą. Weszła Olivia z dzbanuszkiem i postawiła go na stoliku. Napełniła dwie filiżanki kawą, potem wyszła nic nie mówiąc.

Fot. L. Michajłowa

Dan zapytał: — Czy masz jakiegoś wroga?

Sędzia roześmiał się. — Mógłbym ułożyć listę nazwisk dwumetrowej długości. Wrogów ma każdy sędzia, są to przyjaciele, czy rodzina osób skazanych.

— Czy możliwe, że Pete jest krewnym skazańca?

— Może. Jest w nim coś... jakby znajomego.

— Więc dlaczego trzymacie go jeszcze? Zwolnij go!

— Nie mogę, Olivia go przyjęła i ona powinna go zwolnić.

— Opowiedz jej o tych listach.

— Nie mam żadnego dowodu, że on je napisał.

Dan wstał. — Więc poszukajmy dowodów! Zaczniemy od przeszukania pokoju Jenkinsa.

Po krótkiej dyskusji sędzia zgodził się i poszedł za Danem. Przeszukali rzeczy ogrodnika, lecz niczego nie znaleźli.

— Zadowolony jesteś, Dan?

— Nie, mamy jeszcze szopę.

— Udali się tam. Po krótkim przeglądzie Dan wydał okrzyk triumfu i wyciągnął z kąta maszynę do pisania. — Co tu robi ogrodnik z maszyną do pisania? — zapytał.

— Ależ to jest maszyna Olivii.

Dan poprosił o list „Kata", sędzia mu podał. Dan włożył kartkę do maszyny i coś napisał. Po zbadaniu liter rzekł: — List był pisany na tej maszynie. Oto mamy dowód, którego szukaliśmy.

— Co teraz proponujesz zrobić? — zapytał Jonathan.

— Pójdziemy do policji!

— Nie możemy, przyjacielu. Olivia jest zakochana w tym młodzieńcu, nie mogę poniżyć jej dumy, podać tego do wiadomości publicznej.

Dan był wstrząśnięty. — Dlaczego nie pomyślisz także o sobie? Dlaczego okazujesz wciąż tę wielkoduszność?

— Taka już moja natura. Lecz teraz powiem Olivii o listach, niech się dowie, co się kryje za pięknią twarzą ogrodnika, chyba go usunie...

Czwartek. — Jak się czuje dziś Olivia? — zapytał Dan. — Czy powiedziałeś jej?

Sędzia skinął głową. — Przyjęła to pozornie dobrze.

— Czy zwolni go?

— Myślę, że tak, gdy przejdzie jej szok. Zapewne jutro zobaczymy go po raz ostatni.

— Ale jutro jest 13 października...

* * *

Zegar na kominku wybił szóstą rano. Niedługo będę wolnym człowiekiem — myślał sędzia, zagłębiwszy się w fotelu. Spojrzał zadowolony na dwustudolarowy przekaz dla Jenkinsa, wypełniony i podpisany przez Olivię. Wytłumaczył żonie, że musi posłać ogrodnika po zakupy do miasta. Ta karta miała odegrać ważną rolę w planie Jonathana. Jeszcze raz przemyślał wszystkie szczegóły. Gdy zabije w bibliotece Olivię uderzeniem pogrzebacza, pójdzie do ogrodu i wręczy Jenkinsowi przekaz. Ogrodnik zapewne pójdzie do Olivii, by od niej usłyszeć o wymówieniu.

A on sam pójdzie za ogrodnikiem. Pete wszedłszy do biblioteki zatrzyma się nagle, przerażony widokiem Olivii leżącej na podłodze z roztrzaskaną głową. Wówczas sędzia zawoła go i gdy Pete odwróci się, strzeli mu w twarz dwa razy... Kiedy Dan przyjdzie na kawę znajdzie dwa trupy i Jonathana wyciągniętego w fotelu, z rękami na piersiach, jak przy ataku serca. Policji wytłumaczy się, że Pete mając na widoku cztery miliony dolarów, chciał anonimowymi listami wywołać u sędziego atak serca. Olivia dowiedziawszy się o listach wypełniła przekaz na dwieście dolarów i wezwała ogrodnika do biblioteki, aby mu powiedzieć o zwolnieniu z pracy. Pete, wściekły, uderzył kobietę pogrzebaczem. Sędzia słysząc krzyk żony wpadł do biblioteki. Pete rzucił się na niego, lecz sędzia zdążył wyjąć rewolwer z szuflady i strzelić przed atakiem serca.

W czasie śledztwa Dan potwierdzi tę wersję opowiadając o szlachetnym zachowaniu się sędziego w okresie otrzymywania anonimów.

Jonathan wstał z fotela i wrócił do sypialni. Spał do godziny dziewiątej.

Prawie o tej samej porze Dan, idąc do przyjaciela na kawę, spotkał listonosza. — Czy jest coś dla sędziego?

— Tak, mam list.

— Proszę mi go dać, zaniosę mu. — Idąc ścieżką Dan automatycznie otworzył list i przeczytał szybko. Oczy napełniły mu się łzami. Treść listu uderzyła go w serce jak maczugą. Zachwiał się i upadł.

* * *

— Czy chcesz jeszcze kawy? — zapytała Olivia.

— Nie dziękuję, poczekam na Dana. — Sędzia zbliżył się do kominka i zaczął grzebać żelazem w ogniu. Był zdenerwowany, nadchodził decydujący moment. Zimno jest, dołóż drewna, Olivio — wyszeptał.

— Gdy kobieta pochyliła się nad ogniem, Jonathan uniósł pogrzebacz. Nagle poczuł się słaby, ledwo oddychał, pogrzebacz wypadł mu z ręki.

Olivia odwróciła się. — Czy się źle czujesz, Jonathanie? Może jeszcze jedną kawę?

Wszedł Pete i podał Olivii list, szepcąc jej coś do ucha. Potem objął kobietę i tak stali oboje patrząc na sędziego, czekając...

Jonathan zrozumiał... Zaczął krzyczeć, upadł na podłogę i wyrzęził: — Kawa...

— Tak — rzekła Olivia — kawa. Lekarz pomyśli, że to atak serca.

— Szaleńcy... Dan wszystko wie, wyzna policji.

— Dan leży na ścieżce, nie żyje — wtrącił zimno Pete. — Trzymał ten list w ręku, przeczytam go panu: „Kochany mój, muszę ci oznajmić wieść cudowną. Dwa dni temu wydałam na świat twego syna. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy będziemy razem. Życzę ci powodzenia w wykonaniu twojego planu. Zawsze Twoja — Marcella".

A. S.

Rzecz o biciu

Słynny incydent w Międzyzdrojach wywołał konsternację w społeczeństwie. Kelner zabił tam konsumenta więc nic dziwnego, że wszystkich to zaskoczyło. Przywykliśmy widzieć kelnera przeważnie w innej roli niż zabójcy. Ale właśnie ta śmierć nie powinna być niespodzianką, gdyż sygnały o biciu konsumentów przez personel gastronomii nadawane były już od dość dawna.

A w ogóle to moda na bicie istnieje. Żyjemy w wielkim pośpiechu i dziś liczą się raczej czyny niż słowa. Ludzie nie mają czasu na jałowe gadulstwo, sprawna pięść o wiele szybciej kończy kłótnię. Z ekonomicznego punktu widzenia jest to metoda bardziej racjonalna niż przedłużające się w nieskończoność swary. Opory budzi tylko moralna strona tej racjonalnej metody. Niestety, dziś przemoc fizyczna nie jest czymś bulwersującym, weszła już na stałe do repertuaru odruchów warunkowych. Notatki informacyjne w prasie codziennej z tego typu zdarzeń podaje się językiem suchym, lakonicznym i fachowym, bez zbędnych komentarzy. Bo i po co tu komentarze. Po prostu czytamy:

„Leokadia G. wraz z Edwardem G. poszła odwiedzić swojego brata zamieszkałego przy ul. Głównej. Po wypiciu kilku kieliszków wódki opuścili mieszkanie gościnnego gospodarza. Szli do najbliższego postoju taksówek, znajdującego się u zbiegu ulic Targowej i Armii Czerwonej. Naprzeciw parku Źródliska do idących podszedł jakiś nieznajomy. Między mężczyznami wywiązała się sprzeczka. W pewnej chwili nieznajomy bez żadnego powodu uderzył pięścią w twarz Edwarda G. Uderzony niespodziewanie przez chuligana upadł na wznak. Upadając uderzył o płytę chodnikową i zastygł bez ruchu.

Wezwany lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził zgon. Jak ustalono, wskutek uderzenia głową o betonową płytę, Edward G. doznał złamania kości potylicznej i kości podstawy czaszki oraz wewnętrznego wylewu.

Zatrzymanym chuliganem jest 36-letni czterokrotnie karany Tadeusz Kawa (zam. 8 Marca 5). Prokuratura Dzielnicowa Łódź-Widzew oskarżyła go o nieumyślne spowodowanie śmierci Edwarda G. Rozprawa sądowa niebawem".

Niebawem również odbędzie się proces kelnera z „Europy" w Międzyzdrojach i tu przewiduję drugą konsternację społeczeństwa. Chodzi mianowicie o wyrok, który zapewne będzie niewspółmiernie niski w stosunku do oczekiwań, jako że kelner ten odpowiada także tylko za nieumyślne spowodowanie śmierci.

Sąd niewątpliwie pochyli się niżej nad tym tragicznym wypadkiem niż publicyści i głębiej wniknie w motywy czynu, a wtedy może się okazać, że to konsument pierwszy wszczął awanturę i pierwszy uderzył obsługującego go kelnera. Jednakże nawet najsprawiedliwszy wyrok nie wróci życia studentowi.

Ostatnio głośno jest w Piotrkowie o bójce w szpitalu. Incydent zdarzył się mniej więcej w tym samym czasie co w Międzyzdrojach, tyle że finał nie był taki tragiczny.

W wersji, w jakiej sprawa ta krąży po mieście historia jest ponura. Sprowadza się w skrócie do tego, że dwaj młodzi ludzie, wyszedłszy z lokalu „Polana" w Sulejowie, spostrzegli na szosie nieprzytomnego człowieka potrąconego przez przejeżdżający samochód, który zniknął w ciemnościach nocy. Kierowani szlachetnym odruchem przywieźli rannego przygodną furgonetką do szpitala, gdzie zamiast wdzięczności i podziękowania jeden z nich dostał od lekarza po gębie. To jeszcze nie wszystko. Niedawno stanęli obaj przed kolegium orzekającym, oskarżeni o zakłócenie ciszy nocnej w szpitalu. Temu, co dostał od lekarza po twarzy, kolegium dołożyło jeszcze 2 tysiące grzywny.

Nie jest to wyrok wychowawczy. Wątpię, żeby ten młody człowiek podniósł jeszcze kiedyś rannego z szosy. Podczas rozmowy ze mną przysięgał, że już nigdy mu się to nie zdarzy. Rozmawiałem także z owym lekarzem. Każdy przedstawił swoją wersję wydarzenia i swoje racje.

Wyrok kolegium orzekającego, skazujący chłopaka na karę grzywny, wcale lekarza nie oczyścił w oczach opinii, wręcz przeciwnie, przyjęty został z dezaprobatą. Bądź co bądź, jakiekolwiek by było późniejsze zachowanie chłopca, postąpił on humanitarnie przywożąc nieprzytomnego człowieka do szpitala. Intencje miał dobre, choć awanturnictwem na terenie szpitala, wynikającym raczej z małego wyrobienia niż ze złej woli, znacznie swój szlachetny uczynek zdeprecjonował. Ale chyba go nie przekreślił. Nic więc dziwnego, że wyrok kolegium kompletnie go załamał. Jeśli kara ma być w swym założeniu środkiem wychowawczym, to w tym przypadku stało się wręcz coś przeciwnego. Jeśli również zachowanie lekarza, choć z dużym trudem, da się jakoś wytłumaczyć, ale nie usprawiedliwić (działał on pod wpływem impulsu, zagrożenia, silnego zdenerwowania) to orzeczenie kolegium nie przynosi mu zaszczytu.

KAROL BADZIAK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Loboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres red akcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 1717. S-5.